RODZINA I DZIECKO



N. 8

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ

NAJBLIŻSZY NUMER „RODZINY I DZIECKA"

t. j. Nr. 1 r. szk. 1936/37

UKAŻE SIĘ WE WRZEŚNIU

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, Sienna 16

Nr. 8. CZERWIEC R. SZK. 1935/36

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO

ZESPOŁU RODZICÓW GRUPY „ZRĘBU"

Janina Rendznerowa

DZIEŃ MATKI

Najbezinteresowniejsza ze wszystkich uczuć ludzkich, najbardziej pełna ofiary, zdolna do poświęceń bezgranicznych — miłość matki ma jakieś niezwykłe dostojeństwo.

Nadzieja i wiara, nieskończoność bólu i radości — wypełniają serce matczyne. Kiedy wszyscy zwiątpią w człowieka, matka nie zwątpi, kiedy wszyscy złorzeczą — ona przebaczy, kiedy wszyscy poniżą — ona w swem sercu miłującem wywyższy.

Dzień Matki to jedna z najpiękniejszych uroczystości, która dziwnie spoiście jednoczy dzieci z dorosłymi. Uroczystość, która nie wymaga stwarzania sztucznych nastrojów podniosłości. Wystarczy dziecku, aby uświadomiło sobie — czem jest dla niego matka, matce — czem jest dla niej dziecko, a już serce przepełnia wzruszenie, budząc zarówno w młodzieży jak w dorosłych głębokie poczucie wartości, jaką wnosi matka w życie dziecka i dziecko w życie matki.

Idea obchodów Dnia Matki powstała w Stanach Zjednoczonych w 1910 r. i bardzo szybko zdobyła sobie powszechną popularność. Wkrótce po zorganizowaniu Kół Młodzieży Czerwonego Krzyża, młodzież, pracująca w nich, entuzjastycznie zaczęła brać udział w propagowaniu Dnia Matki i obchody te w niedługim czasie przedostały się i do Europy. Obecnie już w 31 krajach na kuli ziemskiej młodzież czerwonokrzyska organizuje obchody lub uczestniczy w nich.

Święto Dnia Matki w Polsce poraz pierwszy obchodzono w 1924 r., również z inicjatywy Czerwonego Krzyża.

Dzień ten przypada w maju, najpiękniejszym miesiącu roku, kiedy pełna czaru odrodzenia przyroda stroi się w kwiaty, miesiącu, ktory w Polsce poświęcony jest ku czci Matki Bożej, najwznioślejszego obrazu Macierzyństwa.

Pierwsze obchody były nieliczne, społeczeństwo nasze przyjęło je obojętnie, lecz co rok uroczystości Dnia Matki wzrastają nietylko liczebnie, ale zyskują na głębi, budząc coraz większe uznanie, łącząc w przedziwnie szczery sposób wysiłki starszych i młodzieży.

Dzień Matki obchodzą dzieci w swoim domu prywatnie, intymnie ze swoją Mateczką; w szkołach młodzież urządza zbiorowo programy złożenia hołdu Matkom. Młodzież P. C. K. pamięta też i o tych nieszczę-

śliwych, osieroconych lub opuszczonych matkach, które smutno i samotnie spędzają ten dzień, promienny szczęściem dla innych. Młodzież odwiedza szpitale, przytułki i zakłady, w których znalazły schronienie nieszczęśliwe staruszki, składając im skromne podarunki i wspaniały uśmiech umiejącej kochać młodości.

Jeżeli na całym świecie Dzień Matki obchodzony jest ze czcią, to tembardziej kult tego święta musi głęboko przeniknąć w serca Polaków.

W tym roku obchody Dnia Matki wypadły specjalnie uroczyście. Kilkanaście dni dzieliło zaledwie ten dzień od najcudowniej, najgłębiej pomyślanej przez Syna uroczystości złożenia hołdu Swej Matce.

Dziwnie się jakoś splotły te dwie uroczystości w naszych sercach.

Matka i Serce Syna. Słowa te przypominają nam nierozdzielny związek Józefa Piłsudskiego z Matką: związał z Nią swoje serce, swoje uczucia.

Marszałek, który umiał doceniać Wielkość, umiał przenikać w samą treść rzeczy, położył „granit" pod „tęczę" uczuć naszych dla matki.

Serce złożone w Wilnie na Rossie. Najlepszy, największy Syn Polski złożył hołd nietylko Swojej Matce. Nietylko wyraził jej wdzięczność za to, że wszczepiła w niego umiłowanie ziemi ojczystej, że przygotowała Jego Serce do Wielkiej Ofiary, ale nam pozostawił wskazanie właściwej drogi, abyśmy zrozumieli, że być matką, to wielka odpowiedzialność i wielki obowiązek.

I szczęśliwe są matki w Polsce, bo w ciężkich trudach i mozolnych troskach macierzyństwa mogą czerpać wiarę w posłannictwo swoje i siłę do wytrwania z Serca złożonego najpokorniej, najwdzięczniej u stóp Matki.

Stefanja Skwarczyńska.

OSOBOWOŚĆ CZY OSOBOWOŚCI W DZIAŁANIU ATMOSFERY WYCHOWAWCZEJ?*)

Jakeśmy niedawno mówili jedną z pierwszych trosk wychowawcy winno być otoczenie wychowanka atmosferą wychowawczą. Jest ona warunkiem *sine qua non* powodzenia zabiegów wychowawczych, zwłaszcza na niższym, wcześniejszym stopniu wychowania, czyli wtedy, gdy jeszcze przedwczesną byłaby troska o to, by wychowanek racjonalnie i samoistnie budował w sobie świadomego swych linij człowieka, ale gdy możemy z nadzieją powodzenia regulować w wychowanku i n s t y n k t y, wyrabiać w nim dodatnie i nieomylnie funkcjonujące s k ł o n n o ś c i. Atmosfera wychowawcza, owa emanacja oso-

*) Patrz artykuł „Atmosfera wychowawcza" Rodzina i Dziecko Nr. 6.

bowości wychowawcy, jego równie bezwiedne jak oczywiste i spontaniczne promieniowanie osacza wychowanka, wywiera nań pewien urok, który zarazem jest dla niego musem postępowania takiego a nie innego. Owemu urokowi a zarazem musowi idącemu od zewnątrz poddaje się wychowanek chętnie i dobrowolnie, tem chętniej i tem dobrowolniej, im bardziej jest rozbudowany emocjonalnie, czyli im w swoim rozwoju psychicznym jest — młodszy.

Zaznaczyliśmy, że niema atmosfery wychowawczej bez osobowości wychowawcy, osobowości w swych wartościach skoncentrowanej, zdecydowanej, rozbudowanej racjonalnie dokoła pewnego ideowego programu, osobowości pozytywnie ustosunkowanej do życia i jego możliwości w wymiarach Dobra i Piękna.

Zdawałoby się, że takie ograniczenie *a priori* osobowości wychowawczej prowadzi do zacieśnienia w wychowawcy możliwości człowieka. Że oznaczenie zgóry kierunku pewnych ideałów, pewnych wiar, pewnych dróg twórczych — ściągnie w nim zawsze człowieka do jednego mianownika. Że — jednem słowem — zuboży go o nieskończone możliwości bogactwa wewnętrznego, że uprości najbujniejsze możliwości jednostki do oschłej, utylinarnej linji — wychowawcy. Że człowiek jednem słowem stanie się schematem.

Czyż tak jest w rzeczywistości? Czy określenie linji duchowej człowieka oznacza schemat upraszczający? I czy w jeden schemat może się zmieścić bez reszty nieskończona galerja różnych ludzi?

Jeśli praca wychowawcza domaga się od wychowawcy wyrobionej osobowości, tem samem domaga się pewnych wyników uzyskanych na drodze wewnętrznej, duchowej pracy nad samym sobą. Taka praca nie może się odbywać bez wyraźnego programu, bez pewnego racjonalnego planu. To oczywiste. I to zarazem jedynie godne człowieka poważnego i myślącego. Człowieka, który zdaje sobie sprawę, że mając do dyspozycji siebie samego, ma w ręku bezcenne wartości, za których wyzyskanie jest odpowiedzialny. Otóż domagając się pozytywnie do twórczych walorów życia ustosunkowanej osobowości, domagamy się od wychowawcy, by nietylko w działaniu wychowawczem kierował się planem pozytywnym, ale także, by taki plan pozytywny przyświecał mu w jego własnem życiu wewnętrznem. Czy jednak ów racjonalny plan, który mimo tych czy owych odchyleń przecież m u s i m i e ć zawsze podobny kościec — upodabnia ludzi, którym przyświeca, czy ich rozwój duchowy w jego rezultatach identyfikuje?

Pominiemy tu oczywiście różnice, jakie zawsze musi wytworzyć mniej lub więcej intensywne życie duchowe, mniejsza lub większa zaciekłość w realizowaniu w sobie tego samego nawet ideału. Zastanówmy się tylko nad owocowaniem tych samych ziarn na różnych glebach duchowych. Otóż to właśnie. Różne gleby duchowe. Niema dwóch lu-

dzi w swych wszelakich dyspozycjach i w swem wszelakiem dojrzeniu — podobnych. Różne zdolności, różne zamiłowania, różny temperament, różne zdolności do życia in — czy extenzywnego, różne nietylko intelektualne, ale i uczuciowe ustosunkowanie się do tego, co jest światem rzeczywistym od zewnątrz i od wewnątrz — wszystko to sprawia, że człowiek zawsze może być tylko s a m s o b ą. Jest to zarazem rzeczywistość, która nie może się ani zmienić ani odchylić — i zarazem piękność tej rzeczywistości. Przejawia się w tem całe bogactwo człowieka, wolnego człowieka, owej wartości n i e p o w t a r z a l n e j — i cała jego wysoka godność, która odcina go przepaścią od stworu, któryby byłby tylko narzędziem, czemś *ad usum* czystej funkcjonalności — doskonałym poprostu automatem.

Tej rzeczywistości nie może znieść nikt i nic — ani sam człowiek, ani tem mniej stworzony przez niego racjonalny plan dla wewnętrznej przebudowy.

Plan ów patronuje wysiłkom, jest celem, ideałem, czy też raczej drogą zbliżenia do ideału; dzięki temu planowi człowiek przesuwa w sobie wartości i odpowiednio je organizuje, wzmaga pożądane, ruguje niepożądane — ale nie niszczy w swej duchowości bujnego życia— całych obszarów wewnętrznej rzeczywistości, leżącej poza zasięgiem dobra i zła, piękna i brzydoty wewnętrznej. Popędy twórcze, zamiłowania, zdolności — które przecież zarysowują naszą sylwetkę duchową, a u każdego człowieka są tak odrębne — nie wchodzą w konflikt z planem racjonalnym same przez się. Możnaby powiedzieć, że na gruncie tego wewnętrznego bogactwa, z dna tego bogactwa, wyłania się człowiek o przemyślanych i przepracowanych przez siebie konturach charakteru i ideowości, konturach, które wraz z owem przyrodzonem bogactwem decydować będą o jego osobowości. Nie suchy schemat ideowych założeń w człowieku, lecz bogactwo rysów rzeczywistych jego psychiki jest tem właśnie, co z człowieka promieniuje, co stwarza dokoła niego atmosferę, co przez tę atmosferę drugich podbija, zniewala, ukształca — i co wreszcie, w pewnych warunkach działa wychowawczo.

Tak więc widzimy, że mówiąc o jądrze emanacyjnem osobowości wychowawczej, mówiąc o atmosferze wychowawczej nie mówimy o j e d n y m j e d y n y m typie człowieka i j e d n y m j e d y n y m t y p i e a t m o s f e r y w y c h o w a w c z e j. Ilu ludzi — ile osobowości — tyle różnorodnych promieniowań — i tyle różnorodnych „atmosfer wychowawczych". Czy to źle?

Oczywiście, nietylko że nie źle, ale dobrze, a tem lepiej, im częściej i pełniej dane jest młodemu zetknąć się z promieniowaniem duchowem różnych osobowości. Zetknięcie z atmosferą jedną i jedyną — może zbyt jednostronnie podciągnąć młodego pod jeden jedyny wpływ,

co przy zupełnej odmienności natury psychicznej może go wciągnąć w upodobnianie powierzchowne, w naśladowanie — zamiast poddać pod działanie przekształcające. Ponadto zetknięcie z jedną osobowością zbyt jednostronnie przedstawić może młodemu istotne wartości życia duchowego; młody wyobrazić sobie może, że to jedyna linja, jedyny wartościowy rezultat pracy nad sobą człowieka. Takie fakty zdarzają się częściej, niż się przypuszcza.

Jeśli młody ma w swojem pobliżu tylko jedną osobowość — wchodzi zbyt wyłącznie w jej krąg — skutkiem czego często wyrabia się w nim pewien daltonizm w dostrzeganiu człowieczeństwa w jego różnorodnej, przebogatej. wartościowej skali. Następuje zacieśnienie horyzontów.

A więc *optimum* dla celów wychowawczych, to nie jedna. ale więcej osobowości roztaczających dokoła siebie atmosferę wychowawczą. Poprzez ową atmosferę wychowawczą złożoną, bogatą, bujną — młody odczuje pełnię życia w jego zróżnicowanych kształtach, pozna istotne wartości, istotne dobro wytworzone nie na jednej, ale na wielu drogach. W taki sposób jego własne możliwości psychiczne wydadzą mu się materjałem zdatnym do wszelkiej przemyślanej budowy. Wzrośnie w nim ufność we własne siły, wzmocni się nadzieja, że nie niszcząc siebie w sobie osiągnąć może to, co przedmiotowo najbardziej cenne i godne wysiłku.

Oczywiście jeżeli kilka osobowości styka się ze sobą w obrębie jednego wysiłku wychowawczego — muszą one przy całej swej różnorodności harmonizować, wzajemnie się dopełniać i uwypuklać. Wtedy będą czemś takiem, jak różne tony w jednym akordzie. Tajemnica wychowawczej atmosfery rodzinnego domu, to sharmonizowane promieniowanie osobowości ojca i osobowości matki; osobowość jednego tylko z rodziców nie da dziecku *optimum* tego, co atmosfera wychowawcza domu dać może. Oczywiście atmosfera wychowawcza domu z jednem centrum promieniującem jest czemś nieskończenie lepszem od braku atmosfery, ale też i czemś nieskończenie gorszem od atmosfery o dwóch centrach promieniowania, od atmosfery, w której pierwiastek męski i kobiecy, w której ludzie o różnej budowie psychicznej zespolą się miłością dla podobnie pojętych ideałów i sharmonizują w podobnem pojmowaniu życia i jego wartości.

O tem trzeba koniecznie pamiętać. Im większym kręgiem prawdziwych osobowości otoczymy dziecko, tem pewniej — niezależnie jeszcze od własnych wysiłków — będzie ono dojrzewać i ukształcać w sobie to, co sobie zakładają nasze wysiłki wychowawcze.

Stefan Pogorzelski

DZIECKO PROMOWANE I NIEPROMOWANE

Moment promowania uczniów do następnej klasy jest tym niesłychanie ważnym punktem w życiu szkolnem, koło którego krąży przez cały rok myśl uczniów i rodziców. Jest momentem, który zmusza ucznia, nauczyciela i rodziców do głębszego wniknięcia w rezultaty ich pracy i usiłowań, każe im odpowiedzieć sobie na pytanie, czy, pracując. stali na wysokości zadania w ciągu roku. Odpowiedź na to pytanie zadecyduje o ich samopoczuciu moralnem — uspokoi ich lub zatrwoży, zwłaszcza wobec faktu, gdy jednostka zostaje pozbawiona prawa posuwania się razem z rówieśnikami do pewnego wspólnego całej gromadzie celu, wyrwana z tej gromady bez względu na ambicję, uczuciowe węzły, cofnięta do dalszych szeregów armji, która maszeruje zwartemi kolumnami, posuwając się nieustannie, chociaż ściśle określonemi etapami.

Dźwięk wyrazu „p r o m o c j a" wywołuje tyle różnych uczuć, wzbudza tyle nadziei i niepokoju, dumy lub rozczarowań, goryczy i upadku wiary we własne siły. Tyle spóźnionych żalów, skruchy lub buntu, łez i uśmiechów.

Ta chwila właśnie bardzo często decyduje o atmosferze w szkole, o wzajemnem zaufaniu uczniów i szkoły do siebie, jak również rodziców do szkoły, a nawet układa stosunki pomiędzy rodzicami a dziećmi.

Istnieje pewna niewspółmierność pomiędzy doniosłością zagadnienia promocyj i drugoroczności, a nikłą dozą uwagi, jaką ją się obdarza, i to nietylko na konferencjach rodzicielskich i szkolnych, ale nawet i w prasie pedagogicznej, która innym zagadnieniom i stronom życia szkolnego daleko więcej miejsca poświęca.

Niema w tem bynajmniej nic dziwnego. Zagadnienie drugoroczności nie daje się wyodrębnić ze splotu innych zagadnień szkolnych, nie da się traktować jako zjawisko oderwane. Wszak promuje się ucznia według pewnych zasad selekcji — które też stanowią wdzięczny temat do dyskusji — na podstawie ocen, co do których współczesna pedagogika, na znajomości psychologji oparta, ma mnóstwo wątpliwości i zastrzeżeń. Oceny znów powstają w umyśle nauczyciela, jako wynik konfrontacji wymagań szkoły z wynikami pracy ucznia i jego własnej. A przecież praca nauczyciela odbywa się według wskazań dydaktycznych i metod nauczania ustalanych i obalanych, wprowadzanych i poniechanych, rehabilitowanych i potępianych! Program, czyli zakres wiedzy obowiązującej, też jest rzeczą zmienną. Te

wszystkie czyniki i działy życia szkolnego tak ściśle są z sobą związane, tak są od siebie zależne i tak oddziaływują na siebie silnie, że jest sztuką nielada zatrzymać się na któremkolwiek z ogniw tego łańcucha, nie poruszając poprzednich, lub następnych.

Specjalną trudność zaś napotkać musimy w tym względzie przy omawianiu promowania uczniów, będącego końcowym, wynikowym etapem pracy szkolnej, a więc wynikiem zalet, czy niedomagań we wszystkich innych dziedzinach zagadnień szkolnych.

Tę okoliczność musimy mieć ciągle na względzie, skoro sprawą drugoroczności mamy się dziś zajmować. Wszelkie konieczne dygresje w dyskusji powinny być użyte ze świadomością, że są one ubocznem oświetleniem tematu nas zajmującego, że poruszanie tematów, związek z głównym tematem mających, musi z natury rzeczy wkońcu wyprowadzić nas na główny gościniec prowadzący do wyświetlenia celowości, istoty, dobrych i złych stron — promowania i drugoroczności.

Ma się rozumieć, przystępując do rozważań tych, musimy obracać się w sferze przesłanek ściśle teoretycznych, musimy wyeliminować osad powstały z uprzedzeń i inkryminacyj, ze spokojem i bezstronnością zważyć dobre i złe strony, konieczność czy brak uzasadnienia stosowania systemu promocyjnego. Musimy w dyskusji naszej przyjąć za zasadę istnienie dobrej woli ze strony nauczycieli i rodziców, istnienie wzajemnego zaufania. Dlatego też uniknąć musimy podejrzeń w rodzaju: „Mój syn pozostał na drugi rok w klasie, gdyż naraził się nauczycielowi, nie kłaniając mu się na ulicy", albo: „Mój uczeń nie czyni żadnych postępów w przedmiocie, którego ja uczę, gdyż niechętni mi rodzice jego umyślnie obniżają w jego oczach powagę mojego przedmiotu i moją".

I nie dlatego nie należy takich czynników wprowadzać do dyskusji, że podobne wypadki uważamy za zupełnie nie mogące mieć miejsca, a dlatego, że dotyczą one przywar ogólnoludzkich, które do rzeczowego ocenienia zajmujących nas tu posunięć szkolnych nie mogą wnieść nic pożytecznego. Wszak w dyskusji nad wartością samochodu, jako środka lokomocji, nie wniesie nic ktoś, kto będzie narzekał, że jego szofer jest człowiekiem nieuważnym lub alkoholikiem.

W prawem przepisanych ramach mieści się możliwość przejścia do następnej klasy dla ucznia i swoboda grona nauczycielskiego, które feruje wyroki; przyznając prawo do przesunięcia ucznia na wyższy szczebel w swoistej szkolnej hierarchji, lub odmawiając tego prawa. Skutek jest taki, iż ilość drogorocznych waha się w różnych szkołach od 15 do 25%, jak to wskazują publikacje i wykresy M. W. R. i O. P. Przyczyny pozostania na drugi rok są najrozmaitsze, tkwić one mogą w uczniu, w domu ucznia, w szkole, w której się uczy, a nawet w systemie szkolnym. Bo przecież, gdyby nawet i szkoła i uczeń byli bez

zarzutu i obowiązkom swoim zadośćczynili, to nie usuną przyczyn, wynikających z systemu, który gromadzi 40, powiedzmy, w klasie, mniej więcej w jednym wieku, dzieci, o różnych zdolnościach, o różnem tempie pracy umysłowej i różnym stopniu chwytliwości intelektu stosuje do tych dzieci jednakowe wymagania, daje im wszystkim 10 miesięcy czasu na przyswojenie sobie jednakowego materjału, objętego programem, obliczonym na przeciętnego ucznia. A klasa jednak nie przestaje być zbiorowiskiem dzieci słabych, przeciętnych i zdolniejszych od ogółu. W takiej klasie uczniowie skazani są zawsze na to, że niejednakową korzyść z nauki odnoszą. Bardzo zdolni próżnują i słabo się rozwijają. średni dają sobie radę, słabi jednak załamują się i pozostają na rok drugi.

Poza tą ogólną przyczyną działają tu jeszcze inne. indywidualne.

1) A więc domowe i rodzinne warunki dziecka: brak spokoju i miejsca do nauki, gdzie indziej brak materjalnej pomocy lub moralnego poparcia. niedocenianie konieczności odrabiania lekcyj. lub odwrotnie, zbytnia gorliwość rodziców w przynaglaniu dzieci do nauki.

2) Zdrowie dziecka, jego rozwój fizyczny. Dzieci wątłe, anemiczne mają pracę utrudnioną przez ogólne osłabienie, zawroty lub bóle głowy, niemożność skupienia uwagi. osłabioną pamięć i t. d.

3) Warunki uczęszczania do szkoły i warunki higjeniczne w szkole. Trudność dojazdu do odległej szkoły. Zbytnie przepełnienie klas. ciasnota lokalu szkolnego i duszność.

4) Uparta niechęć ucznia do pracy i lenistwo, co jednak znowu może być następstwem przyczyn poza wolą ucznia leżących.

5) Program i metoda nauczania. Przeciążenie materjałem — zbyt szybkie posuwanie się w materjale przy niedostatecznych wyjaśnieniach — niezdarność lub brak doświadczenia nauczyciela.

6) Wreszcie wadliwe klasyfikowanie przez nauczyciela — do tego punktu wrócę jeszcze później.

Tyle czynników może powodować ciężkie przeżycia dla ucznia w końcu roku — pozostawienie na rok drugi. Czy aby zmuszenie ucznia do pobytu jeszcze jednego roku w tej klasie jest celowe?

Nasuwa się tu mnóstwo wątpliwości. O ile uczeń w swem przekonaniu winien się uczyć przedmiotów, przez które powtarza klasę, to w innych uważa się już za kompetentnego i przeważnie się ich nie uczy; często nie intersują go one. Skutek bywa taki, że powtarzając klasę, uczeń otrzymuje gorsze oceny z pewnych przedmiotów. niż w roku poprzednim. Zjawisko takie obserwuje się przedewszystkiem u dzieci leniwych. Powtarzanie klasy może tylko wtedy wpłynąć dodatnio na ucznia, gdy jest on opóźniony w rozwoju. lub z jakichś niezależnych od niego przyczyn nie mógł poprzedniego roku opanować

przynajmniej w stopniu minimalnym zakreślonego programu i w następnej klasie nie da sobie rady, a może nawet zniechęcić się do pracy przerastającej jego siły, co byłoby najważniejszem niebezpieczeństwem. Tyczy się to uczniów pracowitych, posiadających duże braki z przerobionego materjału.

Uczeń leniwy, a zdolny, otrzymawszy roczną ocenę niedostateczną, lub wogóle wykazujący braki w materjale, który winien był opanować w ciągu roku, pozostawiony na rok drugi, bardzo często lekceważy sobie lekcje — tak, jak i w roku ubiegłym, a lekcje te jeszcze mniej w drugim roku wzbudzają w nim zainteresowania, — skutek taki, że oceny znowu zdobywa niedostateczne. W wielu wypadkach zaś uczeń ten, promowany do klasy następnej, braki stopniowo uzupełnia i daje sobie jakoś radę.

Ale i promowanie nie zawsze okazuje się celowe w stosunku do ucznia leniwego, a dosyć nawet zdolnego. Bywa tak, że uczeń promowany z zastrzeżeniem z jednego przedmiotu, zawodzi nasze oczekiwania. Przy niektórych przedmiotach, gdzie zagadnienia się powtarzają, uczeń taki, przerabiając je w dalszym ciągu, ma możność nauczyć się i opanować to, czego z jakichś względów nie mógł zrobić poprzednio. Gorzej jest znacznie, gdy materjał z poprzedniej klasy nie jest przerabiany, ani rozszerzany w następnej i do tego, bez zrozumienia pewnych partyj poprzedzających, niepodobna posunąć się dalej, jak to jest prawie we wszystkich działach matematyki. Wtedy uczeń nie daje sobie rady, zniechęca się, a często traci wiarę we własne siły. Często też słabi uczniowie, promowani z zastrzeżeniami, pozostają nadal takimi.

Tak rozumując, zbliżyliśmy się do najprzykrzejszej strony pracy nauczyciela do jego obowiązku decydowania, czy uczeń ma przejść do następnej klasy. Czy ma go on zdyskwalifikować, nie bacząc na sympatję, nawet często szacunek dla jego pracy, czy ma ciężko zasmucić rodziców, którzy z takiem zaufaniem dziecko szkole powierzają. Czy rzeczywiście na dobre wyjdzie uczniowi pozostawienie na drugi rok? Czy nie będzie daleko większą krzywdą dla niego promowanie go? Czy wreszcie nie myli się w ocenianiu ucznia?

Badania wykazują, że co dla jednego nauczyciela jest poziomem dostatecznym, dla drugiego może być niedostatecznym, a jeszcze dla innego bardzo dobrym. Pod tym względem zgadzają się naogół teoretycy pedagogiki, a szczególnie stwierdza to Döring w swoich „Untersuchungen zur Psychologie der Lehrer". Tu więc tkwi często przyczyna różnorodnych wyników klasyfikowania uczniów. Niestety, na odpowiednie nastawienie nauczyciela niema sposobu, o ile on sam, jak to słusznie twierdzi dr. Wład. Sciebora w swej pracy o promcjach, nie

znajdzie go w sobie, wtedy gdy nie zna psychiki ucznia i jego możliwości rozwojowych. a brak mu objektywnego poglądu na własną pracę.

Pełen wątpliwości, dopatrujący się konfliktów pomiędzy sercem a obowiązkiem, niezdecydowany jak postąpić ostatecznie wobec niepewnego ucznia, ma przed sobą jednak nauczyciel drogowskaz pewny, którego zlekceważyć mu nie wolno: musi uzależnić swe zdanie w sprawie promocji ucznia od odpowiedzi, jaką mu jego najgłębsze przekonanie podyktuje, na pytanie: czy uczeń sobie da radę z nauką w następnej klasie. Odpowiedź na to pytanie rozstrzygnie mu wątpliwości. Z całym spokojem może teraz wziąć odpowiedzialność za swój osąd. Od konsekwentnego wyciągnięcia wniosku z powyższej odpowiedzi nie może go odwieść żaden inny wzgląd, żadna okoliczność.

Pozostawi ucznia na rok drugi, ucznia dość pracowitego ale niezdolnego, wiedząc, że to będzie dla tegoż z korzyścią, a zgodzi się na promocję dla ucznia też same braki mającego, lecz zdolnego, który da sobie radę, podług niego, w następnej klasie. Pozornie dopuści się tu niesprawiedliwości, lecz tego wymagał od niego najwyższy cel. dla którego szkoła istnieje — dobro tych uczniów. Nie będzie się powodował, tam gdzie nie należy, współczuciem dla rodziców ze względu na ich ciężkie, przypuśćmy, położenie materjalne — gdyż krótkowzroczna to dobroć nie będzie wcale dobrodziejstwem dla słabego ucznia. Odsunie od siebie przy decyzji ostatecznej wszelkie względy uboczne, jak przesadne pojęcie o niesłychanej doniosłości swojego przedmiotu, lub nieuzasadnioną obawę przed władzami, że jego stanowiska nie zaaprobują. Skonfrontuje własną opinję o zdolnościach uczniów z opinjami innych.

Takie ujęcie sprawy i taka panująca w pedagogice opinja zmusza nas do rewizji poglądów naszych na drugoroczność. Musimy się zgodzić na to, że w poważnej większości wypadków pozostawienie na rok drugi jest takim samym zabiegiem pedagogicznym, jak i inne: że w większości wypadków drugoroczny uczeń najniesłuszniej nosi na sobie piętno winy własnej. Że nie upokorzenia i czynione mu wyrzuty winny być jego udziałem.

Wszak inne systemy szkolne (Mannheimskie) przewidują podział klas na grupy dzieci szybciej lub wolniej przechodzących materjał wskazany; z tych ostatnich wyrastają zrównoważeni i dzielni pracownicy społeczni, a pobierając naukę w zwolnionem tempie, nie uważają się za upośledzonych.

Pozostawienie na rok drugi nie jest karą, wymierzoną przez szkołę, chociaż może być wynikiem opieszałości czy lenistwa. Uczeń, pozostawiony na rok drugi, nie traci prawa do tegoż samego traktowa-

nia go z całą życzliwością i troską, którą szkoła otacza innych uczniów.

Stosunek uczniów do swej pracy i do swych obowiązków bywa, ma się rozumieć, różny. Nauczyciel-wychowaca musi użyć całego aparatu napomnień, zachęt i wpływu osobistego, by ucznia leniwego do pracy zmusić, lecz oddziaływanie to nie ma nic wspólnego z poniżaniem godności własnej ucznia i upokorzeniami, chociażby nawet był to uczeń pozostawiony na rok drugi wskutek własnej opieszałości.

Gdy ten pogląd na drugoroczność przeniknie wszędzie i podzielą go wszyscy rodzice — zniknie dużo powodów do żalu i pretensyj pod adresem szkoły — wzmocni się do niej zaufanie, a dziecko nie będzie narażone z powodu braku promocji na ciągłe przykrości w domu, obok już istniejących w szkole przez utratę kolegów i cios, zadany jego ambicji.

Znikną może także płytkie i powierzchowne artykuły w prasie codziennej, dopatrujące się sadyzmu ze strony nauczycieli i załamywania rąk z powodu jedynej jakoby anomalji w stosunkach ludzkich, gdzie sędzia-nauczycie feruje wyrok bez prawa obrony oskarżonego i bez prawa odwołania się od wyroku.

Kończąc swe wywody, treść ich ujmuję w następujące punkty:

1) Jedynym powodem pozostawienia na drugi rok ucznia w danej klasie może być tylko przeświadczenie nauczyciela, że wobec braków, jakie uczeń posiada, nie da on sobie rady w klasie następnej.

2) Spowodowane tem pozostanie na rok drugi nie jest ani nieszczęściem, a w większości wypadków ani kompromitacją: jest jedynie koniecznością, mającą na celu dobro ucznia.

3) Uczeń, który nie otrzymał promocji, powinien być zarówno przez rodziców, jak przez szkołę tak traktowany, aby również zrozumiał cel pozostania na rok drugi i nie tracił wiary we własne siły i we własną wartość.

Zofja Wołowska

KILKA UWAG O SELEKCJI W SZKOLE

Nierówność uzdolnień, a w następstwie nierówność wysiłków i pracy wkładanych przez różne dzieci dla wykonania jednego programu oraz niewspółmierność tych wysiłków z wynikami jest zjawiskiem nierozerwalnie złączonem z życiem szkolnem. Wynikająca stąd nierówność ciąży od lat najmłodszych nad życiem dziecka. Wiadomo, że dziecko zdolne przygotowuje lekcje godzinę i ma wyniki znacznie lep-

sze niż jego kolega, który zużywa na te same zadanie dwie i trzy godziny i otrzymuje oceny średnie lub niedostateczne.

Patrząc na to zjawisko, rodzice dzieci zdolniejszych zadają sobie niekiedy pytanie, czy dobrze jest, że jeden program przerabiany jest wspólnie przez wszystkie dzieci w jednej klasie, co pociąga z konieczności zwolnienie tempa u zdolniejszych i często towarzyszącą temu nudę, natomiast znacznie bardziej obciąża jednostki słabsze.

Czy nie byłoby lepiej, gdyby te dzieci zdolniejsze znalazły się w grupie jednostek mniej więcej sobie równych, co pozwoliłoby stosować do nich wyższe wymagania i szybsze tempo pracy?

Zagadnienie to pod nazwą selekcji szkolnej, występuje w pedagogice dzisiejszej i czynione są próby tworzenia klas oddzielnych, a niekiedy i całych szkół (w Niemczech) dla dzieci najzdolniejszych, stojąc na stanowisku, że „doborowa" młodzież osiągnie lepsze wyniki i pogłębi w ten sposób wydatniej swe uzdolnienia. Do młodzieży słabszej, wyselekcjonowanej in minus, można będzie natomiast stosować odpowiedniejsze metody i wolniejsze tempo pracy.

U nas w Polsce, aczkolwiek zasada selekcji nie wyraziła się w tworzeniu specjalnych szkół dla młodzieży najzdolniejszej, to jednak znajduje ona dorywcze i samorzutne zastosowanie w tworzeniu klas równoległych (A i B) dla dzieci zdolniejszych i słabszych w jednej i tej samej szkole, jak to naprzykład ma miejsce w niektórych szkołach powszechnych w Warszawie i innych większych środowiskach, a także w niektórych gimnazjach. Przytem zwłaszcza w szkołach powszechnych towarzyszy temu często podział na dzieci mające warunki materjalne lepsze i gorsze, gdyż znaczenie mniej lub bardziej kulturalnego otoczenia dziecka jest bardzo duże dla jego rozwoju umysłowego i odbija się w całym szeregu przedmiotów na jego postępach w pracy szkolnej (np. w języku polskim, historji, geografji), zwłaszcza w językach obcych. W jednej szkole na Śląsku, w takim oddziale dla mniej zdolnych znalazły się prawie wyłącznie dzieci bezrobotnych.

Nawet, gdyby tak pojęta selekcja ułatwiała pracę nauczyciela (a ułatwi ją niewątpliwie w oddziałach dla zdolniejszych), rodzice nie mogą nie zdawać sobie sprawy z jej niebezpieczeństw i nie zająć wobec niej stanowiska.

Pomijając olbrzymią szkodę, jaką tego rodzaju próby selekcji czynią współżyciu dzieci pod względem społecznym i jak bardzo sprzeczne są z duchem prawdziwej demokracji, rodzice nie mogą zamykać oczu na wielkie jej niebezpieczeństwa pod względem wychowawczym i szkody moralne, które ona dzieciom przynieść może.

Weźmy skutki selekcji od strony dzieci zdolniejszych, tych wyselekcjonowanych in plus. Nie wydaje się, by tą drogą miało się dojść do wytwarzania genjuszów ani nawet jednostek szczególnie wybitnych.

Genjusz chodzi zawsze własnemi drogami, a i jednostka naprawdę wybitna da sobie wogóle radę w takich czy innych warunkach.

Pewne zwolnienie tempa pracy umysłowej nie będzie wcale z krzywdą dziecka: przeciwnie dla jednostek nerwowych lub fizycznie słabszych (a takiemi są często bardzo inteligentne dzieci) będzie to nawet korzystne. Pędzenie całą siłą naprzód nieraz mści się bardzo na jednostkach zdolnych, gdyż po okresach zbyt wytężonej pracy, mogą przyjść okresy wyczerpania. Wiadomo, że u rozwijającej się młodzieży większe zdolności do pracy umysłowej występują okresami. Najważniejsze jest jednak, by te dzieci uprzywilejowane uczyły się od lat najmłodszych rozumieć innych i do nich się stosować. Współczucie dla kolegów, którzy z wielkim wysiłkiem osiągają małe rezultaty, opiekuńcze względem nich nastawienie, pomoc udzielana przez nich niezdolnym, wszystko to są czynniki wychowawczo bardzo wartościowe.

Z drugiej strony, warto też się zastanowić, jaki wpływ wywiera na charakter dziecka sam fakt, że znalazło się w takiej klasie „lepszych"; jak dalece sama świadomość tego może budzić zarozumiałość, podsycać egoizm, słowem paczyć charakter? I jaki jest stosunek tych dzieci do klasy tych gorszych? (Bo przecież o zasadzie podziału dzieci wiedzą zawsze doskonale, choćby wychowawcy jak najbardziej starali się to ukryć).

A teraz jak przedstawia się sprawa od strony tych dzieci wyselekcjonowanych in minus? Można sobie wyobrazić jaka będzie atmosfera, samopoczucie dzieci zwłaszcza starszej młodzieży w klasie, w której uczniowie wiedzą, że są tymi gorszymi. U poszczególnych jednostek może się budzić kompleks niższości, u innych niechęć i wrogi stosunek do tych lepszych. Poprostu tą drogą budzi się dobrowolnie u dzieci jakąś kastowość, nastawienie do walki klasowej w przyszłości, wtedy gdy w świadomych swych wysiłkach społeczeństwo i czynniki państwowe tak usilnie dążą do budowania solidaryzmu społecznego i istotnej demokracji.

Może ktoś wysunąć argument, że niezdolne dzieci lepiej będą mogły korzystać z nauki, jeżeli nie będzie wśród nich jednostek zdolnych, gdy do nich zastosować będzie można inne metody i wolniejsze tempo pracy.

Na to można odpowiedzieć, że niema metod dla zdolnych i dla niezdolnych, są tylko dobre i złe metody. Do wszystkich dzieci trzeba oczywiście stosować najlepsze metody. Niema też klas zupełnie równych, bo dzieci nie dzielą się na zdolne i niezdolne ale jest bardzo wiele typów pośrednich. Tempo pracy ma zazwyczaj każda jednostka inne, sobie właściwe i w pracy gromadnej musi się zawsze dostosowywać. Tempo szkolne stosuje się do przeciętnych uczniów i jednym zawsze bardziej odpowiada — innym mniej. Różnorodność uzdolnień jest

w klasie czynnikiem twórczym, pożytecznym, wzbogaca jej życie zbiorowe. Nie można wprost pomyśleć o klasie, w której wszyscy są na jednym, niskim poziomie. Jednostki wybitniejsze są wprost niezbędne. Ich obecność, ich udział w dyskusjach podnosi poziom klasy. Średnio zdolni podciągają się pod wpływem inteligentniejszych, gdyż dzieci w klasie uczą się nietylko z tego co mówi nauczyciel, ale także z tego co mówią koledzy. Znaną jest rzeczą, że zdolny kolega potrafi nieraz wytłumaczyć mniej zdolnym znacznie lepiej niż nauczyciel. Przy pracy grupowej, tak obecnie cenionej, co można zrobić bez materjału na kierowników grup? Są oni niezbędni. Klasa szkolna, zwykła, mieszana pod względem uzdolnień, jest najzdrowszem moralnie środowiskiem dla dziecka.

Wyznacza właściwe miejsce tym uprzywilejowanym, najzdolniejszym, nakładając na nich obowiązek, by służyli ogółowi pomocą, przyzwyczajając ich do tego, że są w szkole inni, do których muszą się stosować. W takiej klasie powstaje dobra atmosfera życzliwości koleżeńskiej, opartej na umiejętności dawania, a także brania pomocy. Przyjaźnie między uczniami o bardzo różnych zdolnościach, a także między dziećmi z niejednakowych, dalekich sobie środowisk, mają ogromne społeczne znaczenie. Tych wielkich wartości społeczno-wychowawczych szkoły przekreślać nie wolno.

Wiktorja Hesslówna

O KŁAMSTWIE DZIECI

Objawy kłamstwa u dzieci wymagają uważnego zastanowienia się nad jego przyczynami i następstwami.

Kłamstwo dziecięce może nieraz zdecydowanie zaważyć na losach całego późniejszego życia. Może popchnąć słabe poddane jednokierunkowym popędom dziecko na drogę, z której już powrót jest bardzo trudny, tembardziej, że otoczenie i opiekunowie sami często nieświadomie popychają dziecko do kłamstwa, a swojem zbyt rygorystycznem lub zbyt pobłażliwem postępowaniem utrudniają dziecku powrót do prawdy.

„Kłamiesz, bezczelnie kłamiesz, idź precz z moich oczu“, mówi srogi ojciec. „Ależ nie, nie warto o tem mówić, to taka drobnostka“, broni pobłażliwie matka.

Kto z nich ma rację? Może żadne.

W każdym razie należy zastanowić się głębiej nad kłamstwem dzieci. Jakie są jego początki i czy zawsze to, co nazywamy kłamstwem w życiu człowieka dorosłego, jest niem w życiu dziecka?

Zgodzimy się wszyscy, że dzieci spotykają się już niemal od najwcześniejszego dzieciństwa z objawami kłamstwa ludzi dorosłych, z których niejedne są nawet powszechnie uznawane i przyjęte.

Weźmy dla przykładu chociażby zwyczaj powszechnego zwodzenia się i okłamywania w dniu pierwszego kwietnia, „Prima aprilis".

Kłamstwa takie bywają przyjmowane objawami radości i śmiechu i nikt nie uważa ich za złe.

Albo zdarza się, że mamusia sama poleca swojemu dziecku, żeby powiedziało odwiedzającej ją pani, że jej niema w domu, lub któreś z rodziców namawia dziecko do kłamliwego wybiegu ukrywającego np. jakiś nadmierny wydatek jednego przed drugiem i tem podobne przykłady. A równocześnie gniewają się i martwią tem, że dzieci ich kłamią potem i w innych okolicznościach.

Niezmiernie trudno uchronić rodzicom dzieci od kłamstwa i odpowiednio pomóc im uniknięcia jego zgubnych skutków. Często bowiem także to, co my dorośli nazywamy kłamstwem, nie jest niem w oczach dziecka. Bywają to tylko pomyłki nieuzależnione od woli dziecka i jego intencji.

Dzieci mniej więcej do lat siedmiu, zapytywane o przebieg jakiegoś zdarzenia, czy też same dobrowolnie zdające z niego sprawę, mogą przedstawić je kłamliwie, często nie wiedząc o tem.

Przedewszystkiem bowiem już podczas samego zdarzenia nie całkowicie uważały na jego przebieg. Uwagi swojej nie mogą dzieci skupić tak jak my na jednej akcji, czy na jednej rzeczy. Równocześnie zajmuje je to i owo. Wiele drobnostek odrywa ich uwagę od treści, na której chcielibyśmy ją zatrzymać. I mimo najlepszej chęci, a nawet pod wpływem przymusu nie mogą postępować inaczej, nie pozwala im na to słaby rozwój ich umysłu i prędko występujące zmęczenie.

Naturalnie, że z tak słabą uwagą łączy się niedokładność spostrzegania. Dzieci zauważą i spostrzegą kilka szczegółów, ale dużo z nich pominą całkowicie. Przytem te zauważone szczegóły bardzo często są interesujące dla nich, a nie dla nas. Bo naprzykład: na pewnej kartce stylowej przedstawiającej taneczną pozę pary w strojach francuskich, pięcioletni Olek zauważył tylko to, że na ziemi leżały klucze, szczegół, który dorośli zupełnie pominęli.

Do tej niedokładności spostrzeżeń dołącza się właściwa dzieciom (mniej więcej do lat siedmiu) niedokładna znajomość czasu t. j. przebiegu zdarzeń w czasie. Przeszłość przedstawia im się jako jednolita otchłań, w której zdarzenia nie mają rzeczywistego zlokalizowania.

Wczoraj, przedwczoraj, dwa, trzy dni temu, to wszystko jedno. „Czy ciocia wczoraj była u nas?" pytamy dziecka. „Tak wczoraj" odpowiada z całą stanowczością, chociaż ciocia była trzy dni temu.

Bo i pamięć dziecka jest niedokładna i słaba. Ludzie dorośli także niezawsze mogą poszczycić się dobrą i usłużną pamięcią, ale zdają sobie dobrze sprawę z tych braków i potrafią, krytycznie oceniając siebie, przyznać się, że czegoś nie pamiętają.

Dzieci jeszcze nie posiadają tej samooceny i zapytane o coś, pragnąc zaspokoić życzenia starszych, mogą dać kłamliwe odpowiedzi, z powodu niedokładnej pamięci, ściśle łączącej się z chwiejną uwagą i niedokładnością spostrzeżeń. Kłamliwe odpowiedzi, których jednakże kłamstwem nazwać nie można.

Dołącza się do tego właściwa umysłowi dziecięcemu fantazja, która w zabawie pomaga dziecku zamienić kawałek patyka na piękną lalkę lub ozdobną szablę. Ta sama fantazja może powodować przeróbkę prawdziwego zdarzenia na kłamliwą historję, za którą gniewają się starsi.

Dziecko do zauważonych i zapamiętanych fragmentów prawdziwego zdarzenia dołącza swoje własne zmyślone dodatki, które podsuwa mu fantazja i chęć opowiadania, czy też zwrócenia na siebie uwagi otoczenia. Dziecko, kłamiące fantastycznie wierzy w prawdziwość swoich słów tak, jak w czasie zabawy wierzy w to, że krzesło jest lokomotywą i gniewa się i płacze, jeżeli starsi zaprzeczą temu.

Jeżeli zatem te „niby" kłamstwa dziecięce nie są kłamstwem prawdziwem czyli świadomą chęcią wprowadzenia nas w błąd, nie można ich za takie uważać.

Błędem i czemś niemiłem byłoby psucie dziecku zabawy prostowaniem jego fantastycznych wymysłów, jak również zarzucanie mu kłamstwa w jego opowiadaniach fantastycznych.

Dziecko samo zda sobie sprawę z tego, że inny jest świat jego zabawy, a inny świat rzeczywisty. Jego rozwój psychiczny i fizyczny sam doprowadzi je do tego. Rozwinie się jego pamięć i spostrzegawczość, zainteresuje się przyrodą, która dostarczy mu dużo prawdziwych spostrzeżeń i doświadczeń. Resztę dokona współżycie z towarzyszami w szkole, którzy wspólnie z nim w czasie nauki szkolnej pozbywać się będą kłamstw fantastycznych.

Bywa jednak czasami, że kłamstwa fantastyczne trwają zbyt długo lub są tak częste, że przeważają ponad normę. Można wówczas obawiać się, że wpłyną ujemnie na rozwój dziecka. Dzieci chowane samotnie, pozbawione towarzystwa rówieśników, nudząc się i tęskniąc, wymyślają fantastyczne opowiadania, pełne takich kłamstw, które plączą i zaćmiewają im rzeczywistość. Może także zbyt długo trwające i uporczywe kłamstwo fantastyczne jest wynikiem jakichś zaburzeń psychicznych, a zatem objawem chorobowym wymagającym rozpoznania i leczenia.

Również nie należy zapominać i o tem. że ludzie obdarzeni wielkim talentem twórczym, wielcy artyści, a nawet wynalazcy, odznaczali się w dzieciństwie prawie chorobliwą fantazją.

Zdarza się także, że dorośli swoją nieuważną interwencją powodują to, że kłamstwo fantastyczne może zmienić się prawie że bezpośrednio w kłamstwo prawdziwe.

Przykład (wyjęte z moich obserwacyj dzieci).

Obok okna mojego pokoju siedzi na balkonie pięcioletni Janek i opowiada głośno jakieś historje, chociaż przy nim niema nikogo. Janek jest jedynakiem i prawie cały dzień przebywa sam w domu ze służącą.

Słucham, co Janek mówi. Opowiada coś jakiejś „niby" pani. „No i wie pani, tam w cyrku to taki mały chłopiec podniósł swojego brata i tatusia. A jeden to leżał na szkle". Mówi sam do siebie. Zbliżam się i siadam na oknie, teraz Janek mnie widzi. Wchodzę bezpośrednio w tok jego monologu. „Tam w cyrku widziałeś tego chłopca?" Podejmuje żwawo rozmowę i zaczyna mi opowiadać o cyrku. Nie mówię nic więcej tylko słucham potakując głową. Janek chciałby mówić i mówić. Po godzinie znowu słyszę głos Janka, tym razem zwraca się do dzieci bawiących się na dole.

„Ty, Leszek, idź do domu, bo ciocia cię woła. Idź zaraz!"

Leszek bawi się w ogrodzie i nie zwraca uwagi na głos Janka. Natomiast ja z mojego okna pytam się Janka, kiedy to ciocia wołała Leszka.

„No wołała, jak pani była w tamtym pokoju".

I konsekwentnie starając się uzasadnić swoje kłamstwo, podbiega na drugą stronę balkonu i krzyczy wdół. „Proszę pani, Leszek powiedział, że nie przyjdzie".

Nikt mu nie odpowiada.

Mamy tutaj charakterystyczny przykład kłamstwa dziecięcego, na którym można wykazać różne jego rodzaje i motywy.

Janek istotnie był w cyrku i przeżył tam silne wzruszenia. Samo przedstawienie w cyrku dostarczyło dużo materjału dla fantazji dziecka. Fantazja zmieniła, przestawiła i wyolbrzymiła zapamiętane obrazy z cyrku. Taki mały chłopiec jak on podniósł ojca i brata.

Janek ma ochotę komuś o tem opowiadać, a nie mając nikogo, opowiada osobie zmyślonej.

Zgodzimy się zaliczyć te opowiadania do kłamstw fantastycznych i pewnie wszyscy pobłażliwie będziemy się do nich odnosić.

Ale ciąg dalszy jest już inny. Janek woła Leszka i kłamie, że ciocia go woła. Dlaczego tak czyni? Samotny, zamknięty jak w klatce na swoim balkonie, pragnie zwrócić na siebie uwagę bawiących się w ogrodzie dzieci i ażeby skuteczniej to uczynić, chowa się za autorytet star-

szych. To ciocia woła Leszka, nie on. Zatem Leszek powinien przestać się bawić i zainteresować się tem wołaniem.

To już kłamstwo nie fantastyczne, ale spowodowane chęcią zwrócenia na siebie uwagi, chęcią zabawienia się. Kłamstwa tego rodzaju również dosyć często spotykamy u dzieci. Ale zastanówmy się nad dalszym zwrotem tego kłamstwa w wyżej przytoczonym przykładzie. Janek kłamie dla zabawy, gdy wtem osoba dorosła żąda od niego sprawozdania z tego kłamstwa. Już samą formą pytania poddaje w wątpliwość jego wołanie, powstałe z chęci zabawy. Pytanie „na serjo", a zatem już nie zabawa. Ambicja dziecka skłania je do tego, żeby się nie przyznać, żeby postawić na swojem. I powstaje kłamstwo rzeczywiste. Janek już z uporem i świadomie kłamie, że ciocia wołała Leszka...

Tak powstało kłamstwo „sprowokowane".

Lepiej byłoby, żeby osoba dorosła nie wmieszała się w jego zabawę swojem rozsądnem pytaniem. Zabawa zostałaby zabawą i sama skończyłaby się jak zwykle.

Przykład innego rodzaju:

Przed kilku laty byłam na lekcji u chłopców w pierwszej klasie szkoły powszechnej. Lekcję prowadziła pewna nauczycielka, która chciała, ażeby dzieci opowiadały swobodnie i samodzielnie o sobie i o swoim domu.

Często zgłaszał się do odpowiedzi chłopczyk, śmielszy od innych, ambitny i żądny wyróżnienia.

W pewnej chwili powiedział, że u nich w domu jest fortepian, który ma srebrne nogi...

Obie z panią uczącą spojrzałyśmy przelotnie na siebie i pani z uśmiechem zapytała się go: „Tak? A będzie można tam przyjść do was zobaczyć ten fortepian?"

Chłopczyk kiwnął głową bez słów, a pani zwróciła się zaraz do innego dziecka. Do końca lekcji chłopiec ten siedział trochę niespokojnie ale nie zgłaszał się już do odpowiedzi, a na pauzie podbiegł do pani i powiedział, że się pomylił z temi srebrnemi nogami.

Pani pogłaskała go po głowie i powiedziała tylko „dobrze". I tak skończyła się ta cała historja.

Chłopiec ten miał już lat około siedmiu i chodził do szkoły, która ma za zadanie zapoznać go z życiem realnem. Opowiadania i odpowiedzi dzieci odnoszą się do ich rzeczywistych spostrzeżeń, które powinny być coraz to bardziej dokładne i prawdziwe. Ale tego ucznia poniosła chęć wyróżnienia się nad innych, a tkwiąca w nim jeszcze dziecięca fantazja podsunęła mu materjał do tego wyróżnienia. Rodzice jego, a zatem i on mają foretpian, który ma srebrne nogi...

Pani zna dobrze takie przechwałki dziecięce. Nie powiedziała mu jednak, że się myli czy kłamie i nie zawstydziła go przy innych . Zgo-

dziła się na jego zapewnienia, ale... ale... przez obietnicę swoich odwiedzin w domu jego rodziców zażądała niejako od niego opanowania i sprostowania swoich przechwałek.

I chłopiec sam dochodzi do przekonania, że nie wolno rzucać nieopatrznych kłamliwych słów, bo zażądają od niego faktów na ich potwierdzenie. Sam cofa swoje słowa i prostuje kłamstwo. Nie przeżywa upokorzeń, bo ma zaufanie do swojej pani, która wierzy w jego dobrą naturę, nie skarci go surowo i nie zawstydzi.

Jak wiele kłamstw dziecięcych powstaje z obawy przed rodzicami czy wychowawcami, z obawy przed ich gniewem czy karą!

Zwłaszcza dzieci, chodzące już do szkoły, kłamią z obawy przed karą. W szkole rozwijają się kłamstwa o specjalnym charakterze, tak, można je nawet nazwać „kłamstwami szkolnemi".

Kłamią zatem dzieci przed rodzicami i przed nauczycielami, a powody tych kłamstw są rozmaite. Niespełnione obowiązki szkolne, złe odpowiedzi, zły stopień i t. p.

Przed nauczycielem zmyślają wymówki, które jakoby były powodem nieprzygotowania lekcji. Przed rodzicami ukrywają złe oceny w szkole lub nie mogąc czy nie chcąc podołać obowiązkom szkolnym, podają kłamliwe informacje o nich. Kłamstwo jedno pociąga za sobą z konieczności inne i gromadzi się ich z dnia na dzień coraz więcej. Dziecko oplątuje się samo w niezdrową atmosferę własnych kłamstw, które komplikują się nieraz zatrważająco. Jak uwolnić się tej sieci? Dziecko nie ma na to ani odwagi, ani siły. Obawa przed rodzicami zmusza je do ukrywania się za tę kłamliwą balustradę. Lekcje nienauczone i zaniedbane obowiązki szkolne już są tak liczne, że dziecko podołać już im nie jest w stanie.

Czyż takie kłastwa nie mogą zaważyć na losach całego życia dziecka, czy nie mogą obalić mu całej pracy w szkole i spoczyć jego charakteru?

Wiele istnieje kłamstw z obawy przed karą, niesposób ich jednak wszystkich wyliczać, a nawet określić.

Przeciwieństwem ich są „Kłamstwa bohaterskie", zdarza się bowiem, że jakieś dziecko przyjmuje na siebie winę innego, obawiającego się jej następstw.

Tak ogólnie zapoznaliśmy się z objawami i motywami kłamstwa u dzieci, a teraz zastanówmy się jaką przyjąć wobec nich postawę wychowawczą, ażeby swoją szkodliwą interwencją czy surowością nie powodować ich rozwoju, zamiast go powstrzymać.

Trudne to pytanie, jak i wiele zagadnień pedagogicznych nie może oczekiwać całkowitej i wyczerpującej odpowiedzi. Duszy ludzkiej i duszy rozwijającego się dziecka nie można ograniczyć ścisłemi wska-

zówkami i przepisami postępowania. Mogą bowiem okazawszy się zbawiennemi w jednym wypadku, zawodzić w drugim.

Najważniejszą rzeczą jest umiejętność patrzenia na dziecko. Wyżej opisane kłamstwa dzieci mają na celu rozszerzyć tę umiejętność. Przytem należy zdobyć i rozwijać świadomie umiejętność właściwej oceny swojego postępowania. Czy dziecko chowane jest w zdrowej atmosferze prawdy i szczerości względem rodziców? Szczerości, wynikającej nie z przymusu, a z własnej ochoty i zaufania?

Życie ludzi dorosłych również nie jest pozbawione kłamstw i wybiegów. Jest to kłamstwo socjologiczne, wywołane koniecznością egzystencji i walką o byt. Ale dorośli potrafią zachować i uznać granicę kłamstwa socjologicznego, potrafią ustrzec swój honor chociażby przed samym sobą.

Dziecko zawcześnie byłoby wprowadzać w taki świat kłamstw socjologicznych. Potem, gdy dorośnie, samo uzna jak postępować ażeby móc żyć i pracować w społeczeństwie, nie przekraczając granic honoru i etyki.

Ze swojego świata kłamstw dziecięcych dziecko powinno wyrastać z pomocą starszych. Nie należy surowo karcić dzieci za kłamstwa lub zarzucać im kłamliwe zamiary. Wierzmy i w szlachetną stronę natury ludzkiej, która tęskni do dobra i poprzez błędy i upadki idzie ku niemu. W to dążenie natury ludzkiej powinni wierzyć rodzice i wychowawcy. I to dążenie starajmy się obudzić w dzieciach lub zauważywszy jego istnienie, pomagajmy mu do walki ze złemi skłonnościami.

„Wierzę, że się poprawisz".

Jeżeli kłamstwo dziecięce zwłaszcza w wieku szkolnym, przybiera szkodliwe i poważne rozmiary, nie można ustosunkować się do niego zbyt lekko i pobłażliwie. Ale jak dobry lekarz nie leczy środkami uśmierzającemi objawów choroby, a bada jej przyczyny i leczy chorobę u jej źródła, tak i wychowawca powinien przedewszystkiem zbadać przyczyny kłamstwa swoich wychowanków. Co spowodowało dziecko do kłamstwa, czy nie wynika ono może z winy samych rodziców, czy otoczenia domowego? Coś widocznie jest niezdrowego w całym organizmie rodzinnym, jeżeli jeden z jego młodocianych i mało odpornych członków chowa się przed innymi pod tarczę kłamstwa.

Dom rodzinny powinien być ostoją i źródłem oparcia dla życia etycznego dziecka, nawet gdy zostanie ono zachwiane pod wpływem kolegów czy towarzyszy.

BIBLJOGRAFJA DO ARTYKUŁU „O KŁAMSTWIE DZIECI".

Zienkowski: Psychologja dziecięctwa.
Foerster: Wychowanie i samowychowanie.
Baumgarten: Kłamstwo dzieci i młodzieży.

DZIECKO I ŚRODOWISKO

Dziecko na gościńcu

Trwający od lat kilku kryzys gospodarczy, spowodowawszy wyjątkową nędzę szerokich mas ludności, w niemniejszym stopniu dotknął i dzieci, wciągając je w orbitę trosk ludzi dorosłych. Zachmurza ich najpiękniejsze lata, które osłonecznione być winny beztroską, radością i słodką nadzieją nadchodzącego jutra.

Pragnienie znalezienia jekiejkolwiek pracy lub bodaj nędznego przeżywienia się między bliźnimi wypędza co roku wiosną, z rodzinnych osiedli na gościniec, tysiące ludzi.

I gromady tych biedaków wałęsają się w różnych kierunkach: po ruchliwych gościńcach i szosach, biegnących do miast; po ścieżkach i drożynach, wijących się wśród cichych i ubogich okolic; tułają się nawet po bezdrożach kresowych i pustkowiach.

Jednem ze znamion powszechnego zubożenia, a osobliwie pełnem najboleśniejszego tragizmu, jest dziecko na gościńcu, szukające chleba razem z dorosłymi.

Podróżujące dzieci podzielić można na trzy kategorje: 1) zabrane na wędrówkę przez rodziców, 2) urodzone „na szlaku" oraz 3) opuszczone sieroty, podróżujące samodzielnie.

Dzieci, zaliczone do pierwszej kategorji, dzielą z rodzicami dolę i niedolę przymusowej wędrówki. Przeżywają wszystkie udręki poniewierki, a świadomość bezdomności, ostro przez nie wyczuwanej, przygnębia je straszliwie, gasząc w sercu wszystkie słoneczne uczucia. Widzą upokarzające liczenie na miłosierdzie bliźnich i palący wstyd, jakiego doznają ich rodzice, przyjmujący kęs chleba, podarowany przez łaskawą rękę. W ich młodziutkich sercach urabia się przedwcześnie, za wcześnie! osobliwy pogląd na życie i walkę o byt, pogląd przepojony uczuciem goryczy i niewytłumaczonego żalu do świata i tych właśnie ludzi, którzy posiadają jeszcze jaki taki dostatek. Dziecko traci wiarę i ufność w swych rodziców, w których zawsze widzieć pragnie ostoję, autorytet i chlubę. A w utraceniu tej wiary, które nagle stawia dziecko na rozdrożu, zamyka się jego wielka tragedja. Rodzice przestają być sprawdzianem, kierownikiem i najdoskonalszym wzorem do wyhodowania przyszłych zdrowych zasad moralnych i etycznych, w tym okresie właśnie, kiedy chłonny umysł dziecka kształci się przez naśladownictwo ich postępowania. Niezmiernie smutne to zjawisko psychologiczne, zawisające nad przyszłością dziecka groźbą wypaczenia jego charakteru i pojęć.

Jeszcze mocniejszą goryczą przepaja serce dziecka fakt posługiwania się niem w interesach podróżowania. Źli rodzice, dla których podróżowanie stało się korzystnym zawodem, wiedząc, że obdarte i zbiedzone dziecko budzi wśród ludzi więcej, niż dorosły, tkliwości i miłosierdzia, wysyłają je na żebraninę po mieszkaniach. Odpowiednio wyuczone, stanąwszy na progu, oklepanemi słowy skarży się na swą nędzę i ciężkie czasy. Nigdy nie odchodzi z pustemi rękoma. Zczasem, oswoiwszy się z tym zawodem, narzuconym mu przez groźbę rodzicielską, dziecko zaczyna stosować własną inicjatywę i pomysłowość, zdumiewając częstokroć wręcz rewelacyjnemi posunięciami, opartemi na wyczuciu intuicją psychologij ludności, wśród której się znajdzie.

Żebractwo to, wiadomo, głęboko drąży charakter dziecka. Łatwość zdobywania chleba i pieniędzy jest nieodparcie kuszącą. Pocóż praca, której zresztą i brak, — myśli ono — skoro ludzie i tak obdarzą? Wcześnie zaczyna my-

ślеć, jak dorosły, z wyrachowaniem i chytrością. Ten właśnie pogląd, dominujący od tej pory w mentalności dziecka, głęboko wpływa na kształtowanie się jego psychiki, zaznaczając się później wypaczeniem jego zasad społecznych i życiowych.

Dzieci, urodzone w podróży, jeszcze nie biorą w niej czynnego udziału: wędrówki kobiet trwają zaledwie parę lat. Są to maleństwa, noszone jeszcze na rękach. U nich natomiast już dziś dają się zauważyć cechy, znamienne dla dzieci cygańskich. W swej podróży spotkałem kilka matek, które porodziły w drodze. Dzieci ich są naogół zdrowe, choć brak im tych wygód elementarnych, jakiemi nawet najbiedniejsze bywają otaczane w domu. Ale, jak się okazuje, te złe napozór warunki, w jakich przebywają, towarzysząc matce, nie odbijają się ujemnie na ich zdrowiu. Przeciwnie. Matka i dziecko cały dzień przebywają na powietrzu. Śpią najczęściej w przewiewnych stodołach. Jadają co łaskawa ręka podaruje im na noclegu lub matce uda się wyprosić. A to pożywienie, choć przeważnie proste, jest smaczne i zdrowe.

Spotyka się matki, jak, siedząc w rowie przydrożnym, na podścielisku zakurzonej trawy, karmią piersią swoje maleństwa, to jak mleko grzeją w blaszankach nad ogniskiem, zaimprowizowanem naprędce z garstki patyków. Bardziej zapobiegliwe i rozsądne, jak mi się zdarzało widywać, posiadają nawet zegarek, by odżywiać dziecko regularnie. Po mieszkaniach skamlą o pieniądze, by za nie kupić cukru i kaszki owsianej, a czego na wsi zadarmo otrzymać nie mogą.

Dziecko zczasem tak przywyka do tych warunków życia na gościńcu, że w konsekwencji wygląda ładnie, jest zdrowe i wesołe. W dusznej, wiejskiej izbie czuje się źle. Nocą kaszle, dusi się, popłakuje, nie mogąc zasnąć. Traci apetyt. Atoli jeden nocleg w stodole lub szopie przywraca mu dawny zdrowy stan.

Niekiedy zdarzają się wypadki adoptacji dzieci, urodzonych w drodze. W każdej wiosce mieszka jakieś małżeństwo bezdzietne, które, widząc, że dziecko podróżującej jest niebrzydkie i zdrowe, proponują matce odstąpienie go. Złe matki, przeważnie dziewczęta, dla których dziecko jest hańbą i zawadą, skwapliwie pozbywają się tego „owocu grzechu", by odzyskać dawną swobodę i cześć.

Dzieci, należące do trzeciej kategorji, spotyka się rzadko. Podróżowanie na własną rękę wymaga bowiem pewnej dozy samodzielności, odwagi i hartu, czego dziecko posiada tak mało. Owszem, widuje się na drogach opuszczone sieroty, w stanie godnym najgłębszego miłosierdzia, wołającym o natychmiastową opiekę. Temi zajmuje się policja, ksiądz lub gmina, w obrębie której się znajdą. Wyszukuje się im miejsce gdzieś we dworze za popychadło, którem wysługuje się byle parobek lub dziewka, albo same przystają do pasionki u wieśniaków.

Dziecko to przyszły obywatel. Od jego wychowania zależeć będzie jakość przyszłego społeczeństwa, które kiedyś zajmie nasze miejsce. Najserdeczniejszą troską otaczamy te lata dziecięce, kiedy kładą się podwaliny pod ustrój przyszłego człowieka. Okres ten jest decydującym.

Władze, opieka społeczna i różne towarzystwa dobroczynne, oceniając w pełni doniosłość tej sprawy, robią wszystko, by uchronić dziecko od bezdomności i żebractwa. Dzięki tej akcji sytuacja jego się polepsza. Matki otrzymują pracę lub pieniężne zapomogi, a dzieckiem, które niema już nikogo, opiekują się wspomniane wyżej czynniki. Ta akcja, podjęta w wielkiem uczuciu ludzkości, doprowadza do tego, że spotykamy coraz mniej dzieci opuszczonych.

Stefan Spyra.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE

Kapitalizacja wychowania

Niniejsze moje uwagi nie mają być peanem na cześć materjalistycznego pojmowania obowiązków rodzicielskich. Jednak zamierzam przeciwstawić się tak bardzo powszechnej opinji, iż dziecko rodzice chowają „dla innych, a nie dla siebie". Pomijam kwestję, czy opinja ta jest rzeczywiście wyrazem najgłębszego przekonania rodziców, czy nie jest poprostu nakazem pewnego stopnia kultury. Nieprzyjęte jest w pewnych sferach mówić otwarcie o tem, iż liczymy w przyszłości na pomoc od dzieci, gdy siły przestaną nam dopisywać.

Na wsi ludzie są szczersi. Rodzice chłopscy, olbrzymim wysiłkiem kształcący syna w seminarjum na księdza czy córkę na nauczycielkę, stawiają kwestję jasno: dzieci muszą się im odpłacić. Jeszcze ten, kto posiada własny warsztat pracy i chce go dzieciom w dziedzictwie przekazać, czy to będzie fabryka, majątek ziemski czy przedsiębiorstwo handlowe, zdobywa się na szczerość w tej delikatnej materji i wyraźnie mówi, że chce mieć na stare lata spokojny kąt u dzieci.

Tak zwana „inteligencja pracująca" jednak w tej niesłychanie doniosłej sprawie wytwornie milczy. Poprostu „dzieci kształci się dlatego, żeby im samym w przyszłości walkę o byt umożliwić". A co będzie kiedyś z tymi, którzy, Bóg to jeden wie, jak ciężkim wysiłkiem zdobyli się na to wykształcenie dzieci — o tem wstydliwie się przemilcza. Uważam to za karygodny błąd wychowawczy.

Pomimo najwznioślejszej miłości rodzicielskiej trzeba otwarcie powiedzieć, iż w obecnych warunkach wkład moralny i materjalny, poświęcony na wychowanie i wykształcenie dzieci, jest dla wielu rodziców jedynym kapitałem, od którego odsetki umożliwią im niedołężną starość. Niewielu naprawdę jest rodziców, którzy do końca dni swoich potrafią z pracy swych rąk czy mózgu zdobywać utrzymanie dla siebie. Bywają oczywiście wypadki, iż uczony o głośnem nazwisku, którego dzieła za jego życia jeszcze się nie przeżywają, do samej śmierci czerpie z nich zyski, choćby nawet dalej pracować już nie mógł. Takie wyjątki jednak tylko potwierdzają regułę, a nie są dowodem miarodajnym dla ogółu. Należy jasno oceniać rzeczywistość. Kwestja emerytur w Polsce, jeżeli bierzemy na uwagę szerokie rzesze, nie jest jeszcze rozwiązana w sposób zadawalający. Wątpliwe czy kiedykolwiek nastąpią najszczęśliwsze czasy, żeby zabezpieczenie wszystkich rodziców, gdy zdrowie i siły przestaną im dopisywać, mogło państwo wziąć na swoje barki całkowicie. Byłoby to zamierzenie tak gigantyczne, iż napewno przerastałoby siły kilku pokoleń.

Czy więc nie jest słuszne, aby obecnie zrewidować nasz stosunek do tego zagadnienia w wychowaniu naszych dzieci?

Znów powracam do stosunków wiejskich. W rodzinie chłopskiej rodzice dostają u dzieci t. zw. „wycug". Tak każe prawo zwyczajowe, ale obok tego jest inne prawo, które pozwala usuwać z domu nawet takich rodziców, którzy „przepisali i odrentowali" swój grunt spadkobiercom jeszcze za swego życia. Zwykle rzecz dzieje się tak, iż starzy rodzice w okresie pilniejszych robót polnych ściągają do swojej wsi, gdyż u dzieci znajdzie się dla nich napewno zaję-

cie, bodaj przypilnowanie chałupy, gdy cała rodzina wychodzi w pole do żniwa czy pielonki. Na zimę jednak dzieci każą im iść „we świat”, zdobywać kawałek chleba. Oczywiście jest to pierwotne załatwienie sprawy, jednak opinja publiczna wsi bynajmniej takiego postępowania nie potępia. Jest to zwyczaj i nic więcej.

„Wycug” u dzieci w rodzinach inteligenckich oczywiście istnieje. Nie może być inaczej. Czy jednak tak częste nieporozumienia domowe i przykrości pomiędzy schodzącem z pola pokoleniem a ludźmi w pełni sił, mówiąc poprostu — pomiędzy starymi rodzicami i ich dziećmi, nie są skutkiem pominięcia w wychowaniu dzieci we właściwym czasie tej doniosłej konieczności?

Kiedy małe dziecko snuje naiwne plany o swej przyszłości jako człowieka dojrzałego, a więc marzy o tem, żeby „mieć cukiernię” czy „być szoferem”, rodzice już powinni się upomnieć w jego pamięci o „sucharka” z tej cukierni dla siebie, czy też o zabranie taksówką w niedzielę na spacer. Dziecko z natury jest zwykle egoistyczne. Maleńka dziewczynka, pożądliwie oglądająca błyskotki i biżuterję matki, prędzej skłonna jest powiedzieć:

— Kiedy mamusia będzie taka stalusecka, stalusecka — to to wszystko będzie moje? — niż wspaniałomyślnie obiecać matce, że kiedyś, gdy dorośnie, kupi jej jeszcze ładniejsze ozdoby.

Zatem wychowanie w tym kierunku trzeba zaczynać naprawdę bardzo wcześnie. Rodzina powinna przemyśleć swój modus vivendi do końca. Trudno i przykro jest przewidzieć tragiczne katastrofy, które burzą całe życie rodzinne. Jednak tak oczywisty fakt, iż rodzice kiedyś nie będą mogli zarabiać na swoje utrzymanie i będą musieli korzystać z pomocy dzieci, nie jest nawet przewidywaniem a poprostu stwierdzeniem konieczności. Czy kto chce, czy nie chce, musi się z tem zgodzić. Im prędzej się zgodzi i przystosuje, tem dla niego lepiej. Będzie to może nieco śmiałe, co teraz powiem; ale wydaje mi się, że wiele tragedji teściowych i z powodu teściowych tu właśnie mają swe źródła. Trzeba umieć w porę ustąpić z życia czynnego, jeżeli los tego wymaga, ale także trzeba zawczesu przygotować sobie odpowiednie warunki moralne. Syn czy córka, wychowani w przeświadczeniu, iż kiedyś będą musieli zająć się starością swych rodziców, nie będą dramatyzować później z tego powodu i niepotrzebnie utrudniać życia sobie i rodzicom. Obowiązek ten będzie miał przygotowany grunt, a więc będzie traktowany w sposób normalny i właściwy, nie powstanie poczucie krzywdy i katastrofy.

Uważam, iż wskazane jest, zwłaszcza w czasach obecnych, aby odświeżyć nieco już przebrzmiałe hasła wychowania. Wielu rodziców dziś jeszcze mówi:

— To wszystko, co robimy dla was, naszych dzieci, wy oddacie kiedyś waszym dzieciom.

Dziś powinno się mówić tak:

— Największym wysiłkiem staramy się, aby zapewnić wam przyszłość, umożliwić późniejszą walkę o byt. Widzicie na naszym przykładzie, jak walka ta jest ciężka. Nie zapominajcie, że po latach pracy i zmagań się z losem pragniemy i my zaznać dobrze zasłużonego odpoczynku. Wtedy przyjdziemy do was. W swych planach życiowych pozostawcie i dla nas skromny kącik. Niech nasza starość znajdzie współczucie i zrozumienie w waszych sercach.

Hanna Koryzna

WSKAZÓWKI PRAKTYCZNE

Wakacje na wsi

Wakacje na wsi! Jest to temat tak obszerny, że nie sposób wyczerpać go w jednym artykule. Można najwyżej naszkicować pewne zagadnienia, dające materjał do indywidualnych przemyśleń.

A więc, przedewszystkiem, wybór miejscowości. Zależny on jest od wielu czynników: potrzeby zdrowotne, możliwości finansowe, upodobania osobiste, nakazy pedagogiczne. Najczęściej nasuwają się trzy zasadnicze możliwości: 1) duży dwór-pensjonat, 2) mały dworek, gdzie prócz nas nie będzie żadnych lub prawie żadnych innych letników z miasta, 3) urządzenie t. zw. własnego gospodarstwa, w warunkach zwykle nieco campingowych.

Pierwsza ewentualność jest, według mnie, najmniej pożądanem rozwiązaniem sprawy i dla dziecka i dla matki. W dużym wiejskim pensjonacie obracamy się w podobnem środowisku, jakie otaczało nas w mieście: te same zainteresowania, rozmówki towarzyskie, bridge, dancing... Jeśli chcemy czego innego, musimy się sztucznie odosabniać, co nie zawsze jest łatwe i mile przez innych widziane. Dziecko nasze też przestaje z dziećmi z miasta, nie wynosząc z pobytu na wsi tych doniosłych korzyści wychowawczych, jakie wynieść powinno. Ewentualność trzecia — własne gospodarstwo — dla dziecka ma wiele uroku i może być pod wielu względami korzystna. Mniej korzystna jest natomiast dla matki. Matka na wsi szuka wypoczynku po całorocznych trudach gospodarczych i zawodowych. Gdy zaś zapewnienie odpowiedniego, choćby skromnego, urządzenia mieszkania i odżywiania wymaga od niej bezustannego troskania się i pracy, nie nabierze tych sił fizycznych i duchowych, jakie odpoczynek letni przynieść jej powinien. Najkorzystniejszą wydaje mi się zatem ewentualność druga: mały, skromny dworek, gdzie nie potrzebujemy troszczyć się o to, co będzie na obiad, lub skąd nabyć drzewo pod kuchnię, lecz możemy — i my, matki, i nasze dzieci — pogrążyć się w rytm wiejskiego życia, odpocząć naprawdę i fizycznie, i psychicznie.

Gdy miejscowość została wybrana, wyłania się kwestja, co należy ze sobą zabrać na letnisko, by zabrać to, i tylko to, co będzie istotnie potrzebne. Przedewszystkiem ubranie; zdawałoby się, że o tem nawet pisać nie potrzeba, jednak nieraz dziecko nie może w pełni wyzyskać pobytu na wsi, bo ubrane jest nieodpowiednio. Odzież codzienna dziecka winna być jaknajprostsza, zbliżona do wzorów harcerskich. Niezbędne są sandały na bose nogi, zarówno dla chłopców, jak dla dziewcząt. Dziecko nieraz mówi: „na co mi sandały, będę chodzić boso". Potem się okazuje, że nie ma się w czem pójść na rżysko, do lasu, po kamienistej drodze: miejskie plecionki i półbuciki się rozpadają, a wydelikacona stopa nie odrazu na wszystko pozwala, przyczem tworzą się zranienia, które uprzykrzają życie i narażają czasem nawet na poważne niebezpieczeństwo (tężec). Zapomina się też nieraz o lekkiem, przewiewnem nakryciu głowy, którą niekażdy może bezkarnie wystawiać na pełne słońce. Niehigjeniczna zaś na gorące miesiące czapka gimnazjalna oczywiście niechętnie jest latem noszona, i słusznie. Nie zapominajmy też o majteczkach lub kostjumie kąpielowym.

Z przyborów sportowych, które łatwo ze sobą zabrać i w każdem miejscu zainstalować, przedewszystkiem wymienić należy komplet siatkówki — inne zależne są od warunków lokalnych, mówić tu więc o nich nie będę. Natomiast

pragnę zwrócić uwagę matki na książki. Obciążą one nasz bagaż, lecz są niezbędne. Co zabierzemy dla siebie, to sprawa zbyt indywidualna, by ją tutaj poruszać, chcę jednak wspomnieć o książkach dla dzieci. Należeć one będą do dwóch kategoryj: książki łatwiejsze, które damy dziecku do czytania w dni słotne, w razie niezdrowia itp. (tak zwane połykanie książek w czasie wakacyj powinno być ograniczone do minimum) oraz książki, które czytywać będziemy na głos razem z dziećmi. Z braku miejsca ograniczę się do wskazówki ogólnej: sięgnijcie do arcydzieł literatury! Nie czekajcie, aż dziecko będzie czytało jako obowiązkową lekturę szkolną wielkich pisarzy, polskich i obcych. Pomyśleć o tem należy zawczasu, poradzić się, o ile nie umie się wyboru dokonać samemu. Oczywiście nie może być tych książek zbyt wiele: dwie, trzy na głośne czytanie wspólne wystarcza. Nie o to chodzi, by dziecko poznało ich wiele, lecz by wyrabiało w sobie zamiłowanie do czytania rzeczy wartościowych. Jest natomiast jeden warunek konieczny: ten, kto wspólnem czytaniem kieruje, musi sam mieć w tym kierunku zamiłowanie, inaczej wspólne czytanie nie osiągnie celu, nie będzie najmilszą rodzinną rozrywką w godzinach wiejskiego wywczasu.

Gdy znajdziemy się już na wsi, odrazu ogarnie nas to, co nazwałam rytmem wsi. Im bardziej wżyjemy się w ten rytm, tem większą korzyść przyniosą wakacje. Na to, by żyć z przyrodą i z człowiekiem wsi, trzeba wyzyskać wczesny ranek, nie obawiać się przelotnej słoty, wniknąć w dzień wiejskiej pracy. Wymaga tego również wzgląd na naszych gospodarzy. Zaczynajmy i kończmy dzień wcześnie! My przyjeżdżamy na lato dla odpoczynku, lecz oni wtedy najintensywniej pracują, czy będzie to rodzina ziemiańska, czy też rodzina drobnych rolników. Od naszego wczucia się w ten rytm wsi zależy umiejętność takiego rozłożenia dnia, by dzieci miały zapewnioną swobodę, o jakiej marzyły jadąc na wieś, a zarazem, by ta swoboda dzieci, ich wycieczki, kajakowanie itp. nie odbywały się kosztem nadużywania gościnności tych, u których mieszkamy. Tu pragnę położyć nacisk na zagadnienie, nieraz niedoceniane przez tych, co przyjeżdżają z miasta na wieś na lato. Mam na myśli rzetelne, głębsze ustosunkowanie sie do przyrody i wysiłku wieśniaka. Każdy z nas już dzisiaj docenia znaczenie wychowacze współżycia dziecka wiejskiego z przyrodą i z człowiekiem wsi. Lecz jak często współżycie to jest najzupełniej powierzchowne, nie dające żadnej ze stron tych korzyści, jakie daćby mogło! Nie potrzebuję mówić o tak prymitywnych rzeczach, jak nieniszczenie roślin, niezaśmiecanie lasów itp. Chodzi mi o sprawy mniej oczywiste, a przez to częściej przeoczane. Najlepiej zilustruje je przykład.

Oto dzień zbiórki siana. Dzieci są pełne zapału. Będą pomagać! Gospodarze wystarali im się o grabie, nieraz pożyczone od tych, coby niemi pracowali. Dziewczynki zawiązują chusteczki na głowę (chcą być podobne do wieśniaczek!), chłopaki biorą wodę do manierek. Na łące narazie zapał: każda i każdy chce grabić, robi to, gdzie się zdarzy, nie zwracając uwagi na to, że nie jest to pomoc, lecz zawada. Mija pół godziny: zapał się skończył, dzieci koziołkują poprzez kopki świeżo ustawionego z mozołem przez innych siana. Zabawa w pracę na roli skończyła się. Ze strony tych, co naprawdę dokoła pracują, zabawa ta wywołuje w najlepszym razie pobłażliwy, dyskretny uśmiech.

Oto inny przykład: chłopiec chce zastąpić wyrostka, który jeździ po odbiór listów na pocztę. Gospodarze się godzą, chłopak dostaje konia. Wraca: koń jest zgoniony bez miary, nasz chłopiec zostawia go, zgrzanego i nierozsiodłanego na podwórzu. Na drugi dzień, gdy liczono, że on odbierze pocztę,

a wyrostka skierowano do innego zajęcia, nasz chłopak, jak się okazuje, wyruszył właśnie na ryby, niema więc komu poczty odebrać.

Oto przykłady drobne, lecz obrazujące tę nieumiejętność prawdziwego zżycia się ze wsią, jaką powinno się umieć przezwyciężyć. Dziecko winno rozumieć, że to, co mu się na wsi wydaje zabawą, jest pracą. Niema nic przykrzejszego dla tego robotnika wiejskiego, co grabi siano, jak taki podrostek miejski, co to go poprosi o grabie, pogmera niemi przez parę minut nieumiejętnie i odejdzie ze śmiechem do innej rozrywki. Taki stosunek do swojej pracy wieśniak odczuwa, jak upokorzenie.

I naszemu dziecku podobna nieumiejętność wżycia się w istotę wsi przynosi krzywdę. Jedną bowiem z najcenniejszych zdobyczy, jakie dziecko miejskie może wynieść ze wsi, jest zrozumienie warunków życia rolnika, szacunek dla jego pracy, poznanie jego potrzeb, właściwe ocenienie dorobku, jaki wnosi on całemu społeczeństwu, zapoznanie się z organizowaniem placówek społecznych na wsi. Wyniesie ono tę korzyść, o ile potrafimy zetknąć je na wsi z odpowiedniem środowiskiem i ułożyć odpowiednio jego stosunek do tego środowiska.

Pobyt na wsi może przynieść i nam, i dziecku, jeszcze jedną wielką korzyść. W mieście dziecko jest pochłonięte obowiązkami szkolnemi i życiem koleżeńskiem, my zaś — obowiązkami domowemi, zawodowemi, towarzyskiemi. Tu, na wsi, możemy jakoś inaczej, intymniej, współżyć z dzieckiem. Jest tyle spraw, tyle przemyśleń, któremi w rozgwarze miejskim niema kiedy się wzajem ze sobą podzielić. Teraz i my same mamy możność odświeżyć się wewnętrznie, odprężyć się nerwowo, i w bardziej świeży sposób podejść do własnego dziecka. Niejedna rozmowa w lesie, na oplecionym winem ganku wieczorem, byłaby niemożliwa w mieście. Nasi młodzi przyjaciele i przyjaciółki zwierzą się nam z niejednego właśnie tutaj, i my jakoś właśnie tu powiemy im coś o sobie, coś osobistego; z głębszych pokładów duszy wyłonią się słowa, co rodzą się tylko w ciszy.

Tam zbyt często trzeba było cały możliwy wysiłek zużywać na to, że lekcja jest nieodrobiona, że trzeba opłacić wpis, że buty się podarły, że jest jutro wywiadówka. Tu — samo z siebie tak się dzieje, iż te sprawy stają się nieważne, a rodzą się inne, o ileż ważniejsze: co czuję? czem będę? jak mógłbym pomóc innemu człowiekowi? co myślę o tem lub owem zagadnieniu społecznem, narodowem? co przeżyłam kiedyś, a co sprawiło, że dzisiaj czuję i postępuję tak, nie inaczej? I te właśnie chwile zbliżenia sprawiają, iż wracamy nieraz ze wsi do miejskiego rozgwaru lepiej się wzajem znając i rozumiejąc. Później owe drobne miejskie kłopoty dnia codzienego inaczej nam się układają na tle wspólnie przeżytych takich przyjacielskich chwil. Jest to jedna z największych zdobyczy, jakie dają rodzicom i dzieciom wspólnie przeżyte wiejskie wakacje.

Marja Niklewiczowa.

GŁOSY RODZICÓW

Kilka słów o atmosferze pensjonatów

Chodzi mi o tak popularne dziś wyjazdy z dziećmi do dworów-pensjonatów lub zwyczajnie pensjonatów podmiejskich. Jedzie się tam często zupełnie nie wiedząc w jakie środowisko się wpadnie, z jakimi ludźmi się zetkniemy. Sądzimy, że dajemy dzieciom wszystko, wybierając zdrową dla nich miejsco-

wość i dając swoją opiekę. A co się dzieje? Trafiamy na gromadę, wszystko jedno, bliskich sobie czy obojętnych ludzi, którzy swój urlop chcą spędzić jak najlepiej towarzysko, żeby się nie nudzić samemu, chociaż „jedzie się dla dzieci”. Więc w pozornie cichym pensjonacie, wśród cichych, spokojnych pensjonarjuszów życie zdaje się być samym odpoczynkiem i toczy się leniwie rozciągnięte, pełne harmonji, bez zgrzytów i żadnych żywszych poruszeń. Ale po paru dniach pobytu spostrzegamy ze zdumieniem mniej lub więcej subtelną sieć intryg, flirtów, jakichś dwuznaczników, niedomówień, do których zwolna odnajdujemy szyfr i które powoli i nas wciągają, nawet chociażbyśmy nie byli specjalnie podatni w tym kierunku. Toczą się frywolne, płytkie rozmowy, żarty często zupełnie niedwuznaczne, owszem, raczej zupełnie zdecydowanie nieprzyzwoite, łowi się sensacje i sensacyjki, wyszukuje się emocjonujące ciekawostki w życiu i byciu innych współpensjonarjuszy. Ma się tyle przecież wolnego czasu! Tego wszystkiego słucha nasze dziecko, często z konieczności, bo jest bardzo znaczną część dnia ze starszymi, żyje więc ich życiem, transplantuje je do swoich zabaw, w czem znowu, niestety, często zauważamy tylko momenty śmieszne, nie widząc niebezpiecznych.

Oczywiście my nie możemy żyć tylko światem dziecka, ale musimy mu stworzyć warunki, w których może spokojnie, zdrowo wypoczywać, bez podkreślania tego, że *odpoczywa*, czyli... bez nudy.

Trzeba dzieciom w pensjonacie dać kajak, pływanie, tenis, siatkówkę, gry, włóczęgę, byle, na miłość Boską, nie było tych straszliwych sjest poobiednich na leżakach przed domem, kiedy dzieci muszą „leżyć”, a chcąc mieć na nie oko, a jednocześnie nie pozbawiać siebie uczestniczenia w owych pogadankach (raczej dosłownie biorąc — „obgadankach”!), kładziemy je obok naszych leżaków. Niechże, jeżeli niema specjalnej osoby dla dzieci (jak to bywa i u nas, w niektórych większych pensjonatach), niechże się dzieci układa oddzielnie od rozgadanych starszych i niech codzień ktoś inny z rodziców czyta im głośno lub opowiada. To nie będzie uciążliwe, a jak dobroczynne w skutkach. Przy wspólnych posiłkach nie należy przeciągać ich w nieskończoność dzięki rozmowie starszych, a pozwolić dzieciom wstać zaraz po zjedzeniu.

Na wsi mamy dużo wolnego czasu, więc ludzie więcej używają go na plotki. Najgorzej sprawa przedstawia się w pensjonatach podmiejskich, bo niedzielne przyjazdy mężów, narzeczonych, braci czy tylko znajomych dają powód do nowych dociekań i wrzeń. „Dlaczego pan X. przyjechał do pani Y, kiedy właściwie powinien przyjechać pan Y? Czemu gdy przyjeżdża pan K., pani Z. specjalnie ładnie wygląda, a pani K. smutnieje? i t. d. i t. d.“ Jeżeli dziecko nie ma specjalnego odciążenia, nie pochłania go jego świat, a tylko świat dziecka jednoczy się ze światem dorosłych, to dziecko z konieczności słucha, wnika, interesuje się często z nudów, a słuchając — osądza.

Byłam kiedyś świadkiem jak 7-mio letniej dziewczynce matka nie pozwoliła czytać książki podczas leżakowania, że to niezdrowo, a więc mała bardzo niezadowolona zaczęła słuchać rozmowy o rozwodzie jakiegoś dyrektora J. i jego romansie z sekretarką. Po leżakowaniu towarzystwo wyruszyło przejść się trochę w pola, oczywiście z dziećmi i na spacerze dokańczało się poprzedniej rozmowy? Po co to? Dajmy dzieciom inne możliwości, bez względu na wiek, niech nie słuchają rozmów pensjonatowych, które zawsze, ogólnie biorąc, są zadymione erotyzmem i naszpikowane pikanterją. Życie samo niesie dość brudów w swoim nurcie, poco uczyć dzieci szukać ich i dostrzegać. To niepotrzebne naszemu dziecku i nie wolno nam tak lekkomyślnie, a raczej często bezmyślnie, narażać go na to właśnie, przed czem tak usilnie staramy się je chronić w ciągu

całego roku. Szkoda byłoby osiągniętych rezultatów marnować przez wakacje. Tak samo jak przed wyjazdem do pensjonatu troskliwie wybieramy suchą miejscowość, las sosnowy, ładną okolicę, po przyjeździe tam wybierzmy lub stwórzmy dzieciom możliwie najczystszą atmosferę moralną.

Ewa W.

Dziecko na wakacjach

Po dziesięciu miesiącach ciężkiej pracy dziecko wyjeżdża na wakacje. Musimy zrozumieć, że praca dziecka jest naprawdę ciężka, że zarówno szkoła jak lekcje dodatkowe, jak wreszcie tryb życia miejskiego męczą dziecko nietylko fizycznie, ale i nerwowo. To też wakacje są przeznaczone nietylko na poprawę zdrowia dziecka, ale przedewszystkiem na regenerację jego systemu nerwowego.

Dziecko należy się pełnia swobody, którą wiedzione trafnym, niespaczonym instynktem będzie umiało wykorzystać w sposób dający mu najlepszy wypoczynek. Niestety troskliwa opieka rodziców potrafi nieraz zepsuć ten wypoczynek. Czasem rodzice nie są tu winni, gdyż wykonywują zalecenia szkoły. Są bowiem nauczyciela, którzy zadają dzieciom pracę na wakacje. Dziwię się, że to nie jest zabronione. Znam jednak nauczycieli, którzy uważają, że ich przedmiot jest tak *wyjątkowo ważny*, że młodzież powinna jeszcze przez wakacje nad nim pracować. Wydaje mi się to horrendum.

Czasem brak zaleceń ogólnych dla całej klasy, ale zato są wskazania szczegółowe dla Tadzia czy Zosi. „Tadzio powinien przerabiać zadania matematyczne, Zosia powinna pracować nad łaciną czy francuskim" brzmi troskliwy wyrok, który niestety psuje całe wakacje, stając się tragedją dziecka.

Ale czasem szkoła milczy, a dzieci padają ofiarą gorliwości rodziców. Ta gorliwość przybiara nieraz formę zasad. „Nie jest dobrze, przyzwyczaić się do próżnowania". Niedobrze jak dziecko wychodzi z wprawy uczenia się i t. d. Nie wiem skąd się biorą takie zasady, ale czasem obserwuję jak rodziców dziecka, wyraźnie korci jego ustawiczna zabawa wakacyjna. Ileż dobrych uczniów lub uczenic zmusza się aby czytali po niemiecku (dla wprawy), pisali dyktanda (dla wydoskonalenia się), przerabiali zadania matematyczne z przyszłorocznego kursu (dla ułatwienia przyszłej parcy). Skąd się bierze ta pewność siebie u rodziców, skąd to przekonanie, że znają się tak na psychologji, pedagogice i dydaktyce, że mogą wygłaszać i realizować takie zasady — nie wiem. Myślę jednak, że to jest też horrendum.

To też zanim zaczniemy się bawić w zasady, zanim zdecydujemy się na psucie dziecku wakacyj — przypomnijmy sobie, czem dla nas kiedyś były wakacje i jak nam psuła je troskliwość starszych.

W. I.

LEKTURA DLA RODZICÓW

Poznajmy szkołę

Mówi się dużo i coraz więcej o współpracy domu ze szkołą. Postulatem jednak niezbędnym, aby współpraca ta z dziedziny pomocy czysto materjalnej przeszła w dziedzinę pracy istotnej i twórczej jest poznanie przez rodziców celów i dążeń szkoły, zrozumienie jej ideologji, uświadomienie sobie jej metod..

Przeważnie jednak szkoła jest dla rodziców, nawet dla tych, którzy z nią usiłują współpracować, zupełną terra incognita. Trudno byłoby cały ciężar uświadomienia rodziców o tak bogatym i obszernym zespole zagadnień przerzucić na ciężar już i tak ponad siły prawie obarczonego nauczycielstwa.

Rodzice mogą sami luki te uzupełnić w drodze samokształcenia, szczególniej, że wobec wzrastającego zainteresowania sprawami wychowawczemi, literatura pedagogiczna bogaci się u nas z każdym rokiem i to nietylko w dzieła dostępne wyłącznie specjalistom, nauczycielom, psychologom lub lekarzom, ale również i w prace, które i tej grupie laików, najbardziej zainteresowanych w sprawach wychowania, jaką są rodzice, wielki przynieść mogą pożytek.

Szkoła podlega nieustannej ewolucji. Zmieniają się nietylko programy, ale i metody nauczania, pogłębia się wiedza psychologiczna, a wraz z jej zdobyczami przekształcają się zasady wychowawcze.

Ta szkoła, do której uczęszczają nasze dzieci, jest zupełnie różna od szkoły, w której myśmy się uczyli. O tem musimy ciągle pamiętać. Do poznania dzisiejszej „szkoły w życiu dodziennem" wielką pomocą okaże się dla rodziców książka pod tym tytułem *), dzięki temu przedewszystkiem, że jak to stwierdzają same autorki, charakter jej nie jest ściśle naukowy, a raczej przykładowy.

W sposób jasny, prosty, bez przeciążenia statystyką i suchemi danemi, a zato oparty na faktach z życia bezpośrednio zaczerpniętych, wprowadzają autorki czytelnika przedewszystkiem w zagadnienia nauczania, ujętego jako najważniejszy i najbardziej zasadniczy czynnik wychowaczy. Metody nauczania, stosowane obecnie w szkole, opisane są dostępnie i przejrzyście, a jednocześnie bezstronnie i krytycznie, bez pominięcia usterek i niebezpieczeństw, jakie wypływać mogą z ich stosowania.

Dopiero, kiedy zrozumiemy, na czem polega „modna" w dzisiejszem nauczaniu metoda dyskusyjna, zrozumiemy, dlaczego nasze dziecko żali się, że dostało stopień, choć wcale nie odpowiadało. Okazało się, że dziecko nie liczy jako odpowiedź udziału swego w dyskusji, z której nauczyciel zorjentował się w jego wiadomościach. Jasne się stanie, dlaczego niektóre dzieci, z natury nieśmiałe, nie chcą się „wyrywać" z odpowiedziami, dlaczego wśród wielu dzieci utarło się mniemanie, że w szkole powodzi się najlepiej „lizusom" i „blagierom". Może zrozumienie tych niedociągnięć, które pociąga za sobą nowa metoda, przyczyni się do zmniejszenia zbyt pohopnych żalów rodzicielskich na niesprawiedliwość nauczyciela, może ułatwi obu stronom tak potrzebne dla dobra dziecka porozumienie.

Dalsze wiadomości w dziale nauczania, dotyczące innych metod, stosowanych w szkole dzisiejszej, jak i zagadnienia ocen oraz rozkładu materjału, również w niejednem dopomogą nam do zrozumienia pracy i wysiłków nauczycielstwa.

Rozdział o wychowaniu zapoznaje nas na przykładzie z planem wychowawczym szkoły, powiadamia nas, jak powinien być sformułowany regulamin szkolny, streszczający obowiązki uczniów, zapoznaje nas z treścią arkuszy obserwacyjnych, słowem wprowadza nas w samą istotę pracy wychowawczej na terenie szkoły.

Cenne informacje zawiera rozdział o współpracy z organizacjami szkolnemi; niezwykle ciekawe dla rodziców są dane o eksperymencie w życiu szkol-

---

*) J. Lechicka i M. Uklejska „Szkoła w życiu codziennem". Warszawa „Nasza Księgarnia" 1935.

nem. Omawiane tu są wycieczki i kółka naukowe, świetlice, osiedla szkolne i wreszcie współpraca domu ze szkołą. Wiele tu znajdziemy trafnych, niestety, uwag o stosunku rodziców do szkoły, o bolączce pracy dla ocen i promocyj, narzuconej uczniowi przez dom, uważający szkołę za instytucję przymusową, o pracy w Kole rodzicielskiem, podejmowanej przez rodzciów „dla świętego spokoju", poddane są również krytyce względy, jakiemi się kierują niektóre szkoły przy wciąganiu rodziców do współpracy. Autorki podsuwają tematy, jakie należałoby omawiać na zebraniach klasowych, mówią o konieczności rozbudzenia wśród rodziców zainteresowania zagadnieniami psychologicznemi i wychowawczemi, największą jednak wagę przywiązują do nawiązania osobistego kontaktu z rodzicami przez wychowawcę. Dotychczas jednak taki kontakt bywał nawiązany tylko na terenie niektórych szkół powszechnych, zresztą z bardzo dodatniemi wynikami.

Ostatni rozdział dotyczy nauczycieli, omawia zagadnienia samokształcenia nauczycielskiego oraz organizacji pracy i odpoczynku.

Książka pp. Lechickiej i Uklejskiej liczy się ściśle z istniejącą rzeczywistością. Nie wdaje się w krytykę samego materjału nauczania, autorytaytwnie podanego w programach, nie kusi się o ocenę różnych rozdźwięków i powikłań rzeczywistości współczesnej, które z konieczności odbić się muszą na działalności szkoły jako instytucji wychowawczej.

Dla nauczycieli, którym głównie jest poświęcona, stanowi książka ta przedewszystkiem zestawienie i ujęcie w pewien systematyczny obraz aktualnych zagadnień metodycznych i wychowawczych, dla rodziców jednak stać się ona może najlepszym przewodnikiem, wprowadzającym ich w całokształt prac i dążeń szkoły jako instytucji nauczającej i wychowawczej.

Szczególniej wielkie usługi może ona oddać tym z rodziców, którzy współpracy swej ze szkołą nadać chcą podstawy głębsze, oparte na prawdziwem zrozumieniu jej wysiłków, trudności, z jakiemi się ona borykać musi nietylko w realizacji programów, ale w urabianiu żywego człowieka, zdatnego do użytecznej współpracy ze społecznością ludzką.

J. B.

PORADY WYCHOWAWCZE

Do Pani Zofji Z.

Martwi Sz. Panią, że córka stworzyła sobie jakby odrębny swój „świat", zamknięty przed najbliższymi, że stała się jakby obcą i że z tem czuje się jednak źle, mizernieje i jest smutna. Dodaje Pani, że nie widzi przyczyny, któraby mogła usprawiedliwić to odsunięcie się dziecka od kochających ją osób.

Przyczyna tego jest w niej samej, mianowicie przechodzi ona teraz w pełni okres dojrzewania, a symptomy, opisane przez Panią, są znamienne dla tego okresu. Zmiany fizjologiczne, które zachodzą w organizmie, odbijają się na życiu psychicznem, wywołują często rozdrażnienie, nieokreślony niepokój, nadmierną wrażliwość. Do tego dołącza się wzmożona potrzeba uczucia, tęsknota za niewiadomo czem, marzenia. Dziecko żyje intensywnem życiem wewnętrznem, które pochłania całą jego uwagę i myśli, świat zewnętrzny, inni ludzie, nawet najbliżsi schodzą na drugi plan. Stąd to zamknięcie się

w sobie, odgrodzenie od innych, potrzeba samotności. Dziecko nie rozumie swoich przeżyć, budzą one często w niem niepokój, nawet przygnębienie, a jednocześnie imponują mu, zdaje mu się, że są niezwykłe, jedyne na świecie, jemu tylko właściwe. Nieraz odczuwa potrzebę zwierzeń, lecz jednocześnie jest przekonane, że nikt go zrozumieć nie potrafi; jeżeli nawet zacznie opowiadać o sobie, to byle drobiazg, jakaś mała niezręczność ze strony słuchającego rani je głęboko i powoduje jeszcze większe zamknięcie się w sobie. Z tem wszystkiem dziecko źle się czuje, to też często bywa smutne, melancholijne nawet, mizernieje i traci na wadze.

Co robić, zapytuje Sz. Pani. Trzeba traktować ten okres jako zupełnie naturalny i konieczny, choć ferment psychiczny, który wywołuje, nie u wszystkich dzieci objawia się z jednakową siłą. Trzeba się uzbroić w cierpliwość i pobłażanie, starając się zrozumieć i odczuć to co się dzieje w duszy dziecka. Trzeba podwoić czułość i troskliwość, niech wie, że nie jest naprawdę samotne, że jest drogie i kochane. Nadewszystko nie należy o nic pytać, dziecko, choćby nawet chciało, nie potrafi odpowiedzieć, gdyż nie rozumie samo siebie. Najlepiej jest udawać, że nic się nie widzi, że żadna zmiana w postępowaniu jego nie zaszła, że jest takie jak i dawniej. Dziecko czuje, że nie jest w porządku z otoczeniem, często nad tem boleje i jest z siebie niezadowolone, lecz przemóc się nie potrafi. Uwaga najbliższych na jego dziwne zachowanie się, może tylko spotęgować dysharmonję jego życia wewnętrznego. Niech dziecko nie spostrzega zatroskanych, badawczych, ukradkowych spojrzeń rodziców. Przy skłonności do przesady i przeczulenia w tym okresie wyobrazić sobie może, że jest „szpiegowane" w domu rodzinnym i jeszcze bardziej odsunie się i jeszcze bardziej czuć się będzie nieszczęśliwe.

Jeżeli Sz. Pani chce bliżej zapoznać się z psychologją okresu, który przeżywa córka, możnaby polecić książkę prof. Stefana Baley'a p. t. „Psychologja wieku dojrzewania". Wyd. Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa, 1931.

A N K I E T A

W porozumieniu z Sekcją Psychologów Szkolnych przy Towarzystwie Psychologicznem im. Józefy Joteyko zwracamy się z prośbą do naszych Czytelników o bezimienne wypełnienie ankiety załączonej do Nr. 8 m. Rodzina i Dziecko.

Ze względu na coraz więcej docenianą w naszym świecie wychowawczym rolę psychologa szkolnego i poradni wychowawczej, szczere wypowiedzi rodziców mogą mieć duże znaczenie dla dalszego rozwoju tej pracy i korzyści, które płyną z niej dla lepszego wychowania dziecka.

REDAKCJA.



RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W DOMU, W SZKOLE I W ŚRODOWISKU

Redaktor: JANINA RENDZNEROWA
Przewodnicząca Zespołu Rodziców Grupy Zrębu

Wydawca w imieniu Tow. Kultury i Oświaty
IRENA POSSELTÓWNA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2 gr. 40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7 gr. 50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową (od 10 egzemplarzy)
wynosi **70 gr** za numer

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Al. Ujazdowska 20 m. 7, tel. 9.91-08

Zgłoszenia przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe
za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych

Redakcja rękopisów nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie
na jednej stronie arkusza.